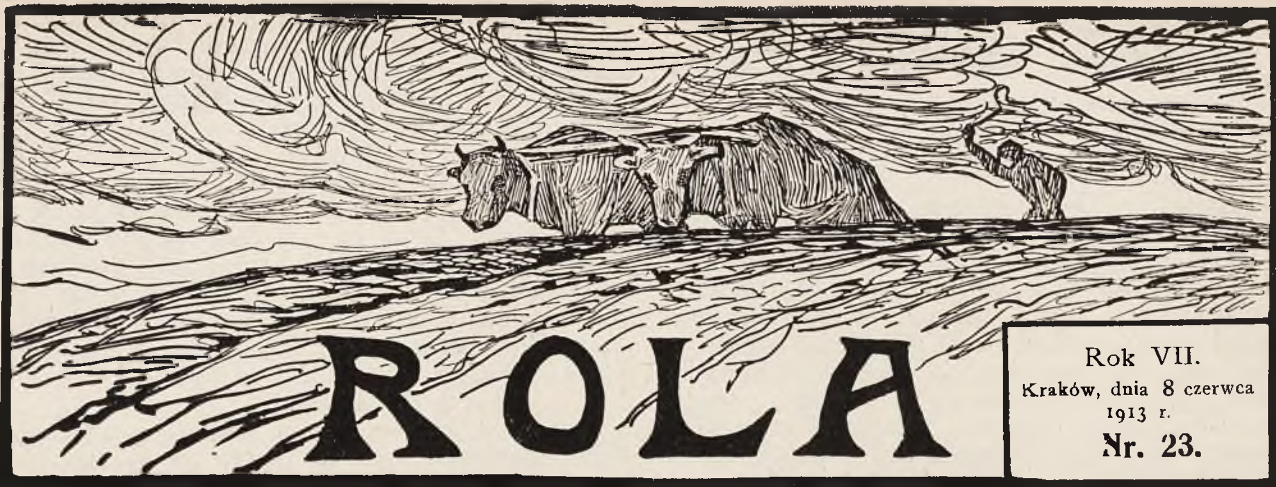


Rok VII.
Kraków, dnia 8 czerwca 1913 r.
Nr. 23.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.



Ś. P.

Stanisław Kopernicki.

Niespodziewana a nadzwyczaj bolesna wiadomość doszła do nas z Abbazyi w dniu 31 maja b. r. Oto na obcej ziemi zasnął na wieki ten, który Ojczyznę polską i lud polski tak bardzo ukochał, ś. p. Stanisław Kopernicki, wydawca i redaktor *Roli,* oraz wspóredaktor *Czasu.*

Ś. p. Stanisław Kopernicki urodzil się w r. 1868 w Bukareszcie, jako syn ś. p. Izydora Kopernickiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i uczonego polskiego. Po ukończeniu gimnazyum świętej Anny i Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wstąpił do redakcyi *Czasu,* gdzie przez lat blisko dwadzieścia pracował niestrudzenie z ogromnym talentem i nadzwyczajną sumiennością, ceniony i szanowany przez wszystkich.



Przy końcu 1909 r. objął wydawnictwo *Roli.* Z całym zapałem i umiłowaniem podjął się ciężkiej pracy. A chwile to były trudne i czasy ciężkie. Lud polski rozagitowany waśniami społecznemi stał naprzeciw siebie, jakoby dwa wrogie obozy. Ś. p. Stanisław Kopernicki nie dał się porwać żadnej stronie, ale postanowił nieść braciom-Polakom hasła miłości i zgody, rzucać ziarna oświaty, z którychby dobre owoce wyróść mogły. Zapał jego udzielił się innym z nim pracującym, myśl jego rosła i wydawała coraz piękniejsze owoce. Niestety! nieubłagana śmierć nie dała mu doczekać owoców tych szlachetnych usiłowań. Zdrowie jego nadwerężone ciężką pracą, zaczęło psuć się coraz bardziej, wskutek czego zmuzsony był wyjeżdżać za granicę, w cieplejsze strony, dla nabrania sił. Jednakże na nic nie zdały się wszelkie zabiegi! Z wiosną 1912 r. wyjechał do Zakopanego, w październiku do Meranu w Tyrolu, a w maju b. r. do Abbazii, gdzie nieubłagana śmierć przecięła pasmo dni jego żywota.

Przez cały czas swej nieobecności żywo zajmowal się *Rolą,* o czem świadczyły bardzo liczne listy nadsyłane przez ś. p. Zmarłego do pozostałych w Krakowie pracowników *Roli.* Ostatni list pisany w przeddzień śmierci, a nadeszły do *Roli* już po jego zgonie nie dałby był przypuszczać, że tak bolesny cios tak niespodziewanie nastąpi.

Redakcya nasza żegna w nim niezastąpionego przewodnika, pełnego szlachetnych dążeń, wyrażając zarazem ciężko dotkniętej Rodzinie Zmarłego gorące wyrazy współczucia a prosząc Kochanych Czytelników o westchnienie do Boga za jego duszę. Niech dobry Bóg wynagrodzi mu te szlachetne zamiary, jakie zmarły żywił i których spełnienia pragnął dla dobra współbraci.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

31. WSTRĘTNE ROZKAZY.

Powrót Adolfiny. — Wieści o kapitanie. — Władek Zezowaty. — Rozkaz cywilny i wojskowy. — Bomby.

Karol przepędził u mnie dzień cały i noc następną. Pomieściłem go w pokoju, w którym stały kaszty drukarskie. Nie wiele z nim rozmawiałem, zajęty własnemi myślami, obaj tylko z wielką ciekawością czekaliśmy, co nazajutrz powiedzą o zamachu dzienniki, zwłaszcza urzędowy »Dziennik powszechny«. Co do mnie dzień ten przepędziłem w wielkim smutku i przygnębieniu ducha. Ciągle mi na myśli stała zdrada haniebna w ogrodzie Rotkircha i targały się we mnie wszelkie pojęcia o miłości i uczciwości. Zamach Laskonogiego, schwytanie Adolfiny, (bo nie wąpiłem, że ją schwytano), dopełniało miary moich cierpień i udręczeń.

Ale przynajmniej nazajutrz Bóg mi dał pewną pociechę i zamraczające mą duszę chmury rozpaczy rozjaśnił nieco. Zaledwie bowiem wstałem z łóżka, gdy do mieszkania mego wbiegła z wesołym i głośnym śmiechem Adolfina. Stanęła we drzwiach mego pokoju, nieco rozczochrana, z chustką na głowie, w swych przydeptanych różowych pantofelkach, w których palił się suchotniczy ogień i zawołała:

— Otóż jestem! Pan może myślał, żem już przepadła? No, jakże? Nie pocałuje mię pan na powitanie?

Pocałowałem ją i mówiłem:

— Cieszę się bardzo, panno Adolfino, żeś wróciła. Wierz mi, widok twój sprawia mi wielką ulgę w mojem zmartwieniu, kamień spadł mi z serca.

Twarzyczka jej, dotąd wesoła i promieniejąca radością i śmiechem, nagle spoważniała:

— Mój Boże kochany!... Ale czegóż się pan tak martwi?

— Tego między innemi, że ciebie schwytano...

— Ej... proszę pana... nie było się czego martwić. Cóż oni mogą zrobić takiej, jak ja, dziewczynie? Ja to panu zaraz powiedziałam, zresztą ja bym sobie była dała radę, gdyby było do czego przyszło...

— Jak to, gdyby było do czego przyszło? — spytałem panny Adolfiny.

— A tak... Bo przecież ja uciekłam z kozy pana Rotkircha.

— Uciekłaś?

— Tak. Ha, ha, ha! powiadam panu, to śmiechu warte. Oni tam wszyscy potracili głowy. Ach, żeby pan wiedział, co się tam dzieje! Wczoraj przynieśli kapitana do domu, całego zbroczonego krwią i ciężko rannego, bo go jakiś sztyletnik na ulicy porządnie poczęstował. Mówił mi Józef... pan wie... ten dureń, co to się we mnie kocha... On mię wczoraj wypuścił, bo ja jeszcze wczoraj wróciłam do domu. Nie było się czego martwić. Takie, jak ja, kobiety zawsze sobie dadzą radę. Czy pan myśli, że ja się ich boję? Ani tyle... drwię sobie z nich. Wtedy w ogrodzie, uprzedziłam pana, że idą zbiry, krzyknęłam co miałam sił. Słyszał pan?

— Słyszałem. Ale jak to było, opowiedz.

— A cóż? Zdrada była, Józef... ten dureń, co się we mnie kocha, powiedział mi, że to była zdrada... i ja widzę po wszystkiem, że mówi prawdę.

— Zdrada, mówisz? Ale kto zdradził... Czyby ona? — zapytałem z bolesnem ściśnieniem serca.

— Pani Józefina? Pan o pani Józefinie myśli? Ale cóż znowu! Co panu znowu do głowy przychodzi? Ona biedaczka nic nie jest winna, o niczem nie wiedziała. Jak wrócił z ogrodu kapitan Rotkirch, strasznie zabłocony, z poszarpanym mundurem, bez szlify jednej... bo coś się tam z nim stało... to zaraz pobiegł do pokoju pani. Opowiadała mi to Bela. Zamknął drzwi za sobą na zasuwę, ale Bela przez dziurkę od klucza patrzała. Kapitan rzucał się jak szalony, podobno nawet chciał bić panią, ale ja temu nie wierzę. Przecież u takich państwa do bijatyk nie dochodzi. Dość, że pani całą noc siedziała zamknięta. Wczoraj dopiero, jak przynieśli kapitana po ranionego, pani wyszła. A! co się tam działo. Istny sądny dzień. Doktorów nasprowadzano i Józef powiada, że z kapitana nic nie będzie, bo sztylet był zatruty. Dobrze mu tak, bo to szelma, tyran...

— Więc któż zdradził?

— Czy ja wiem, ale z pewnością nie pani Józefina. Biedaczka, ona tak kocha pana... Pewnikiem ktoś podpatrzał, jak list pisała. Wczoraj rano to i Belę kapitan wziął na rozpytywanie. Groził jej rózgami i nie wiem do czegoby przyszło, żeby nie to, że go ten sztyletnik tak poczęstował. Józef, choć dureń jest, ale skorzystał z zamieszania, jakie w domu panuje, przyszedł do mnie i powiada: »Panno Adolfino, uciekaj. Teraz wszyscy są czem innem zajęci, to zapomną. A zresztą niech będzie co chce, a tylko panna uciekaj!« To też nie wiele myśląc, zabrałam się i uciekłam. Ha, ha, ha!

Opowiedziała mi wreszcie, że kiedy pałacyku wartowała w ogrodzie, nagle napadło ją niespodziewanie dwóch zbirów i tak zręcznie się znaleźli, że ledwie miała czas krzyknąć. Schwytali ją, usta zatkali i zawlekli do domu, gdzie ją w piwnicy zamknęli. Z tej to piwnicy Józef ją uwolnił.

Wszystko to były szczegóły bardzo ciekawe, dla mnie osobiście bardzo pocieszające, bo do pewnego stopnia usuwały z mej duszy ponurą troskę o zdradzie Józefiny, ale nie objaśniały nas wcale, jakie skutki w ogólności wywarł wczorajszy zamach. Urzędowy organ »Dziennik powszechny«, także nie wiele i bardzo skąpo udzielał wiadomości o tym zamachu. Zaznaczał tylko, że »partya bezrządu« (tak powstańców stale nazywał) dopuściła się nowej zbrodni na osobie »dzielnego« kapitana Rotkircha, na którego »złość czyhająca w ciemności«, od dawna już nosiła się ze skrytobójczymi zamiarami. Ale Opatrzność czuwa nad »dzielnym obrońcą porządku«, ręka »złoczyńcy« (takie miano otrzymał Karol Laskonogi) nie zdołała przeciąć pożytecznego życia i jest nadzieja, że kapitan przyjdzie wkrótce do zdrowia. »Zbrodzień« (drugie miano Karola) zdołał zbiedz, ale jest pilnie przez policyę poszukiwany.

— No — rzekłem do Karola, z którym razem odczytywaliśmy tę relacyę — że jesteś i będziesz pilnie poszukiwany przez policyę, to nie ulega wątpliwości. Radzę ci też wyszukać sobie dobre i pewne schronienie, bo tutaj przecież długo pozostać nie możesz.

— O! — zawołał ze zwykłym patosem w głosie — drwię sobie z poszukiwań ich policyi. Jest ona tak głupia i nierozgarnięta, że będę przechodził pod nosem najbystrzejszych policyantów, a oni mię nie zobaczą. Bóg na nich, jak na Faraonowe wojsko, spuścił biblijną ciemnotę i nie tak prędko mię schwytają. Co się tyczy mieszkania, potrzebuję tylko odwołać się do pana Władysława Zezowatego, a zaraz się znajdzie.

W tym sensie prawił jeszcze długo, ale zauważyłem, że był mocno zmartwiony wiadomością, że zamach się nie udał, że Rotkirch żyje i przyjść może do zdrowia. Chodził cały dzień osowiały, wzdychający, wreszcie wieczorem wyszedł, zapewniając mnie, że się niedługo zobaczymy.

Od tych wypadków upłynęło dwa dni. Parokrotnie przez ten czas, myśląc o wykonaniu rozkazów Sumińskiego, próbowałem przedostać się do domu numer 7, do owej oficyny bocznej, w której miał się ze mną spotkać pułkownik Traugut, ale zawsze musiałem się wracać z niczem, gdyż dom ten od chwili zamachu na kapitana Rotkircha był pilnie strzeżony przez policyę. Wydało mi się to dość śmiesznem, wyglądało na przysłowiową musztardę po obiedzie, ale ostatecznie zmusiło mię do zaniechania tych prób i oczekiwania w bezczynności i dręczącym niepokoju na dalszy przebieg wypadków. W życiu mojem był to najprzykrzejszy okres.

W takim stanie mego serca i duszy, pewnego wieczoru zjawił się u mnie Władek Zezowaty. Przyszedł, swemi brzydkiemi oczami obejrzał mnie i moje otoczenie bacznie, usiadł na krześle okrakiem, oparł brodę na lasce i po chwilowem milczeniu, rzekł głosem skrzeczącym:

— Cóż poruczniku, nudzisz się zapewne?

— Oczywiście, nie przywykłem do próżniactwa.

— Właśnie przyniosłem ci dwa rozkazy. Może zechcesz je przeczytać.

To rzekłszy, sięgnął do kieszeni i wyjął z pugilaresu dwie maleńkie karteczki błękitnego papieru i rozwinąwszy je wprzódy i przejrzawszy bacznie, mnie oddał. Jedna z nich nosiła nagłówek drukowany: »Wydział spraw wewnętrznych. Naczelnik Miasta«. Pan naczelnik miasta, Ludwik Okularnik (tak się podpisał obok pieczęci), polecał obywatelowi porucznikowi Waleremu, pod osobistą odpowiedzialnością i karami przepisanemi za nieposłuszeństwo władzom narodowym, ażebym wypełniał pilnie i skrupulatnie wszystkie rozkazy obywatela Władysława, zwanego Zezowatym, naczelnika dwunastego okręgu policyi miejskiej. Rozkaz kończył się formułą powstańców: »pozdrowienie i braterstwo«.

Zauważyłem, że gdym czytał tę kartkę, pan Zezowaty pilnie mi się z ukosa przypatrywał z miną drwiącą i szyderską. Gniewało mię to nadzwyczajnie, to też gdy po przeczytaniu kartkę składałem, a on mię zapytał, co ja na to odpowiem, odrzekłem:

— Powiem to, że ja jestem żołnierzem i otrzymuję rozkazy tylko od moich zwierzchników, a nie od jakichś tam cywilnych naczelników miasta. Ja nie znam żadnych naczelników miasta, ja znam tylko Zygmunta Chmielewskiego, generała Bosaka, wreszcie pułkownika Trauguta, prócz tych nikogo więcej.

Spojrzał na mnie, poprawił się na siedzeniu, uśmiechnął i rzekł głosem słodziutkim:

— A wiesz waleczny poruczniku, że takie słowa pachną śmiercią?

— Powiedz pan skrytobójstwem... Ale nie lękam się tego i stanowczo niczyich rozkazów, prócz tych, jakie otrzymam od mych zwierzchników, wykonywać nie będę. Przeciw tajnym mordercom będę się bronił, o ile będę mógł.

Powstał, przeszedł się po pokoju i wreszcie stając przedemną, rzekł tonem łagodnym:

— Podoba mi się zachowanie twoje, obywatelu. Jesteś dzielnym i otwartym żołnierzem. Przewidywaliśmy twój opór, zupełnie zresztą uzasadniony i oto jest właśnie rozkaz, pochodzący od twojej zwierzchności.

To rzekłszy, podał mi drugą kartkę błękitnego papieru, na której wyczytałem:

»Kwatera główna 1 korpusu. Wieś Bardo dnia 15 września 18... roku«. »Porucznik pierwszego pułku ułanów, Walery, ma być we wszystkiem posłuszny i wykonywać rozkazy naczelnika miasta Warszawy. (podpisano) Generał korpusu Bosak. Szef sztabu: pułkownik Zygmunt.

Rozkaz był pisany, wyraźny i nie mogło być co do niego żadnego sporu. Przeczytałem go i rzekłem:

— Ha! w takim razie jestem na panów rozkazy.

Tak mówiłem, ale w gruncie rzeczy z ogromną niechęcią poddawałem się temu rozkazowi. Wszyscy ci panowie, Zezowaci, budzili we mnie pogardę i wstręt, ale przywykły do karności wojskowej, nie myślałem się opierać. Rzekłem więc:

— Słucham pana, co mam czynić?

Władek poprawił się na krześle, na którem ciągle okrakiem siedział i rzekł:

— Czy nie domyślasz się obywatelu, o co idzie? Czy nie doszły cię żadne słuchy o naszych zamiarach?

— Nic nie wiem i nic nie słyszałem.

— Czy twojej uwagi nie zwróciła paczka, złożona przez Filipa Białego pod twojem łóżkiem? Czy do niej przez ciekawość nie zaglądałeś?

O paczce tej zupełnie zapomniałem. Odpowiedziałem więc, że nie oglądałem tej paczki, że zapomniałem o niej zupełnie.

— Otóż muszę cię uprzedzić, obywatelu poruczniku, że w tej paczce są granaty ręczne... bomby Orsiniego... czy jak tam ich nazywają.

Skłoniłem się w milczeniu, nic na to nie odpowiedziawszy, a Władysław ciągnął dalej:

— W tych dniach zgłosi się tu do ciebie, obywatelu, niejaki Edward Stroński, nasz pirotechnik *), który te granaty napełni prochem i powkręca w nie pistony. Będziesz łaskaw mu w tem dopomódz.

Skłoniłem się znowu i ciągle milczałem, co widocznie zaczęło irytować Zezowatego, bo dotąd siedział okrakiem na krześle, nagle zerwał się i usiadł jak należy, i przestał przypatrywać mi się swemi oczami.

— Muszę cię uprzedzić, obywatelu — mówił dalej — że z rozkazu Rządu Narodowego, przygotowujemy zamach na życie wielkorządcy, hr. Berga. Zbyt to niebezpieczna figura, byśmy jej dozwolili bezkarnie rozporządzać się... W tym zamachu, który masz zachować w jak największej tajemnicy, weźmiesz i ty obywatelu udział.

— Ja? — zawołałem, zrywając się — nigdy!

— O! nie wyrzekaj się obywatelu. Znamy twoje skrupuły i twoją, jakby to powiedzieć... cnotę żołnierską. Ale rozkaz jest wyraźny, a przytem tu nie będzie działał sztylet, lecz granaty. Toć przecie jest bardziej po rycersku. Czy dobrze umiesz strzelać, obywatelu?

— Strzelam nieźle.

— Doskonale! Nic więcej nie trzeba!

Wstał z krzesła, wyprostował się, przeciągnął niedbale i począł ziewać szkaradnie, jak człowiek znudzony śmiertelnie. Naprzeciągawszy się i naziewawszy do syta, rzekł, wyciągając do mnie rękę:

— Jutro o godzinie czwartej po południu bądź łaskaw, obywatelu, zajść do piwnicy kupca winnego obywatela Kijasa. Znasz ten sklep? Na Krakowskiem Przedmieściu, w tem w miejscu, gdzie, zwężając się, tworzy ono przesmyk. Tam, wszedłszy, spytaj się subjektów; czy są ostrygi? *) W odpowiedzi na to zaprowadzą cię do piwnicy, w której odbędzie się narada co do zamachu. No... do widzenia, pozdrowienie i braterstwo!

---

*) Pirotechnikiem nazywa się człowiek, umiejący przyrządzać materyały wybuchowe, jak: bomby, ognie sztuczne, naboje dynamitowe i t. p.

*) Już przed laty pięćdziesięciu ostrygi, gatunek małży morskich, zamkniętych w muszlach, stanowił przysmak bogatych ludzi, którzy drogo za nie płacili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fujarka.

(Legenda).

Dawno już temu, dawno, że i najstarsi nie pomną, chadzał se Pan Jezus ze świętym Piotrem po ziemi. Dobrze się działo w on czas ludziskom; gdy tylko nieszczęście lub zmartwienie jakie ich nawiedziło, zaraz zjawiał się boski Pocieszyciel i wnet zło w dobro zamieniał.

Idzie se raz Pan Jezus przez bór wielki, a święty Pieter markotny bo to i głodny był a zmęczony i pod wieczór się miało, a las jakby końca nie miał.

— Po cośmy tu wleźli — rozmyśla, lecz głośno pytać nie śmie, a Pan nie zważa wcale na Apostoła, lecz zamyślony śpieszy tak, że Piotr święty ledwo Mu nadążyć może...

Wreszcie las rzednie i podróżni wydostają się na polanę. Stoi na niej szałas pastuszy, kilkoro sztuk bydła się pasie, a poniżej nad rzeczką siedzi se, oparte o wierzbę, smutno zadumane pacholę.

Poskoczył święty Pieter uradowany i prosi o gościnę, a pastuszek, ocknąwszy się z zamyślenia i zrozumiawszy po chwili, o co idzie, zaprasza Podróżnych do szałasu, stawia przed nimi dzban mleka, kładzie kawał czarnego placka,..

Pojedli se, popili, święty Pieter rozciągnął się na murawie i odpoczywa, a Pan Jezus usiadł kole pastuszka i pyta o przyczynę smutku.

Spojrzało pacholę w twarz Pańską i widząc w Niej dobroć samą:

— Panie — opowiada — sierotą jestem zupełnym, bo i ociec i matula pomarli... Krewniak wziął mię do siebie i kazał paść tu na odludziu... Zły to człowiek, okrutny... Miałem jedyne kochanie, skrzypki, co tatulo jeszcze kupili... Grywałem se na nich, kiej mi smutno było, a żem bez cały dzień niewesoły — granie wciąż się rozlegało... I było mi tak dobrze!... Ulatał gdzieś smutek i tęsknica hen do ojców, do niebios, a oni błogosławili widocznie, bo bydełko chowało się zdrowo... Wczoraj nadchodzą mój gospodarz i usłyszawszy grę, oześlili się strasznie: porwali skrzypki i stłukli o drzewo... A jak swarzyli przy tem — że to bydła nie pilnuję, że krowy zamiast jeść, stoją jeno zasłuchane...

Łzy pokazały się w oczach pastuszka, westchnął i żalił się dalej:

— Hej! skrzypki wy moje serdeczne!... Prędzej bym bez mowy się obszedł, niż bez was, coście były pieśnią mojej duszy!...

— Od wczoraj siedzę tu nieruchomy — szeptał dalej — bez czucia i myśli i zdaje mi się, że ktoś serce wyrwał mi z piersi, że głazem się stałem...

Umilkł zapłakany, a Pan Jezus rzecze:

— Nie płacz, chłopcze, daj jeno kozik...

— Panie! — pyta przez łzy pacholę — chcesz wystrugać nowe skrzypki? — Skąd strun weźmiesz a i pudło zrobić trudno...

— Daj kozik, to zobaczysz — odpowiada Pan, a chłopczyna podaje nóż i patrzy zaciekawiony, co dalej będzie.

Uciął se Pan Jezus kawałek gałązki z drzewa, pod którem siedzieli, dokoła trzonkiem kozika opukał i już samą korę trzyma w garści, a środek precz odrzucił do strumyka..

Za chwilę gotowa pierwsza fujarka i Pan gra na niej, a jak cudnie!... rety! — Jaże bór rozśpiewany oniemiał, strumyk szemrzeć przestał, krowy popodnosiły łby do góry — wszystko zasłuchane w tęskną melodyę — a pacholę rzuciło się przed Panem na kolana z rozszerzonemi z zachwytu źrenicami — i usty szeroko otwartemi chłonęło w siebie śpiew czarowny...

Skończył Pan Jezus grę swoją, a podając chłopczynie fujarkę, rzecze:

— Naści, bierz i graj, ile jeno dusza zapragnie, a gdy gospodarz nadejdzie cię z nienacka i odbierze, wiesz już jak nową zrobić. — Wierzbiny ci nie zabraknie...

Skinał na Piotra św. i nim pastuszek ochłonął z podziwu i radości, podróżni byli daleko.

Chwyciło więc pacholę fujarkę i pieśń dziękczynna popłynęła w przestworza — podjęły ją ptaki leśne i hymnem uwielbienia zabrzmiała przyroda cała...

Odtąd wszędzie na wiosnę rozlega się głos fujarki, a wierzba obficie dostarcza materyału. Wystarczy gałązkę jej włożyć do ziemi, by zaraz okryła się zielonością. — I do ostatka spełnia obowiązek, włożony przez Pana, bo wypruchniała zupełnie, a nawet obalona, jeszcze wypuszcza świeże pędy, zdatne — na fujarki.

Stach z Mazowsza.



Śmierć matki.

Cisza w około. W kącie gromnica
Rzuca na izbę słabe odbłyski,
Oświeca matki na łożu lica
I dziecię małe obok kołyski.

— Dlaczego tato — pyta dziecina —
Mama tak długo dzisiaj nie wstaje,
Przecież już teraz późna godzina,
A mama Kasi papać nie daje?

Czemu dziś u nas ludzi tak wiele
A wszyscy mają posępne twarze,
Jakoby na mszy w naszym kościele?...
Niech tatuś mamie już wstawać każe!

— Cicho Kasieńko, cicho kochanie,
Obetrzej, dziecię, twoje powieki;
Matusia nigdy, nigdy nie wstanie,
Bo już zasnęła dzisiaj na wieki!

— Jak to na wieki? Czy to tak długo?
Czy nim się drugi dzionek zabieli,
Gdy przesiedzimy noc przy niej drugą,
Ona powstanie z swojej pościeli?

— O choćby i lat przeszło tysiące,
Choćby na ziemi zniknęły rzeki,
Choćby zagasło słońce świecące,
Ona nie wstanie, bo śpi na wieki!

— To biedna mama, nieprawdaż tato?
Tak się kwiatami łan cały kwieci,
Wiosna w rozkwicie, nadchodzi lato;
Wszędzie śpiew ptasząt i szczebiot dzieci.

A biedna mama śpi w trumnie blada
I tej radości nie widzi świata!
Mama nic nie je i nic nie gada,
Nawet uśmiechem nie darzy tata!

— Prawda, dziecino, prawda kochanie,
Lecz dla mamusi znikły też troski,
Bo ona wieczne słyszy śpiewanie
U stóp Najświętszej Matuchny Boskiej.

Antoni St. Bassara.

GORĄCA WALKA.



Obrazek nasz przedstawia walkę rycerzy w dawnych czasach. Sławny malarz niemiecki F. Kirchbach zaczerpnął tematu do swojego obrazu z następującej historyi:

Dwaj rycerze Jan Wolfsegg i Bodo Greiffenstein zapałali ku sobie wielką nienawiścią. Dawniej byli oni serdecznymi przyjaciółmi, później jednak, gdy Wolfsegg zaślubił bogatą i piękną pannę, z którą również chciał żenić się Bodo, przyjaźń ich zmieniła się w nienawiść bez granic. Wskutek tej nienawiści napadali nawzajem na swe posiadłości, niszczyli wsi a włościan brali w niewolę lub sromotnie zabijali. Było to w czasach, gdy włościanin był zupełną własnością swojego pana.

Taki stan trwał lat kilka. Biedni włościanie jęczeli pod ciężkim uciskiem, ale rady dać nie mogli przemocy. Aż pewnego razu, gdy Jan Wolfsegg wyjechał w celu odwiedzenia swego szwagra zamieszkałego w niedalekim zamku, spotkał niespodzianie swego rywala w towarzystwie drugiego rycerza, jadących z przeciwnej strony. Bez namysłu spiął konia, rzucił się z podniesioną dzidą ku znienawidzonemu rywalowi. Jednem pchnięciem zrzucił z konia jego towarzysza, kładąc go trupem na miejscu.

Teraz siły wyrównały się. Zostali dwaj rywale sami. Rozpoczęła się zażarta walka, która przeważała się to na tę, to na ową stronę. Aż w końcu Bodo zręcznem pchnięciem dzidy w samą twarz zwalił swojego przeciwnika z konia.

Śmiertelną tę chwilę przedstawia właśnie powyżej umieszczony obrazek.

Nie koniec jednak na tem. Szwagier zabitego Jana, spodziewając się jego przyjazdu, wyjechał naprzeciw niego. Zdala zobaczył śmiertelny bój i smutny jego koniec. Galopem popędził więc na plac boju. Przybył jednak już po pokonaniu Jana. Nie pytając o nic, bo znał zawiść dwóch rywali ku sobie, rzucił się na nieprzygotowanego Boda, a kładąc go trupem na miejscu, pomścił śmierć swojego szwagra.

Tak padli dwaj rywale, a zgubą ich była głupia nienawiść. Padli w sile wieku, gdy żyć mogli i pracować dla dobra społeczeństwa.

W PUSZCZY.

Nad ziemią mogił i krzyżów, w biały całun śniegu spowitą, styczniowe słońce połyska. Choć krótką drogę po sklepieniu niebieskiem odbyło, zda się być znużone śmiertelnie. Jakby wstydząc się swej bezsilności i niemocy, ono, takie mocarne i władne, chowa się nieśmiało za linię horyzontu, ostatkiem, by krew czerwonych promieni macierz-ziemię, siostrzycę swą bliźnią całując. Nad puszczą Kampinowską rozlega się złowrogie krakanie kruków i wron, tych bezdomnych tułaczów ptasiego rodu. Snać nie bez przyczyny opuściły zaułki Warszawy i Pragi i aż tu przyleciały, walne jakieś roki czyniąc.

Dęby olbrzymy, poważne puszczy władyki, niepołomy mocarze ziemicy mazowieckiej, strażniki odwieczne szumią ponuro, jakby zagniewane, że im ptasia czereda wieczorem »Ave Maria« przerywa i wywczas zimowy zakłóca. Płaszcze z niepokalanej białości całunu na barki swe królewskie naciągnęły, takiemiż kapturami korony swe bezlistne nakryły i dumają nad dolą tej ziemi macierzy, w którą wrosły korzeniami i piersią jej się żywią. A widno coś niedobrego przeczuwają, bo dreszcz nimi wstrząsa, jakby upiora jakiego zejrzały. Wiekowem doświadczeniem nauczone wiedzą znać, że te roki ptasie, te dreszcze dziwne nic dobrego nie wróżą.

A wtem wiatr się zerwał dość silny, wpadł w ich objęcia i jak goniec nowinę im przeczuwaną niesie. Przyniósł z sobą echa jakieś dziwne od strony Warszawy, wieść przyniósł bolesną, że tam Ziemi tej syn wyrodny brankę zarządził, by szeregi samodzierżcy-tyrana w nowych sołdatów zaopatrzyć, polską krew hyenie moskiewskiej na łup dać. Gwarzy wiatr i pędzi dalej, wieść hiobową niosąc, na apel bijąc, umrzeć mającym waletę przesmutną grając.

Posmutniały dęby-starce, co tyle pokoleń szumem swym wykołysały, dzieje im Ziemicy tej śpiewając; wiedzą, że niejeden z nich stanie za pomnik mogilny dla bezdomnego tułacza-bohatera, że może niejeden z nich padnie wkrótce pod ciosami moskiewskiej siekiery, aby za szubienicę-ołtarz ofiarny dla męczennika cichego posłużyć.

Noc czarna powoli zawładnęła puszczą, ołowiane chmury zawlokły niebo i rozpłakały się posępną, krew mrożącą szarugą. Smutna to noc, żałobna jak dola męczeńskich Polskich synów, beznadziejnie długa, jak kajdany, którymi ich okuto...

. . . .

Skończyła się wreszcie ta noc styczniowa i zaledwie na wschodzie szarzeć poczęło, ukazały się od strony Warszawy jakieś postacie idące »gęsiego« i grzebiące się w śniegu powyżej pasa. Postacie owe to postacie na schwał, jak malowanie, ale ubrani niedostatecznie, znać śpieszyło im się bardzo, bo ten i ów nawet czapki zapomniał. Będzie ich ze trzydziestu. Twarze ich upiornie sine, włosy potem zlepione, skudłane; idą w milczeniu, sapiąc jeno jak miechy kowalskie. Ten i ów zaniesie się kaszlem

gwałtownym, aż przysiędzie; wtedy i reszta zatrzyma się, aby tchu w piersi zaczerpnąć.

Kto są ci, co wyglądają jak z mogił rodem? Co ich żenie w tę noc żałobną i dokąd? To »Dzieci warszawskie«, kwiat młodzieży, co uchodzą przed branką przez Wielopolskiego zarządzoną. Na czole każdego stygmat śmierci wyryty — w gorączką świecących oczach tli wniebowzięcie jakieś... Tak wyglądać musieli pierwsi chrześcijanie, co na arenach rzymskich cyrków pod kłami lwów i tygrysów żywoty swe za wiarę ku zabawie motłochu dawali. O! Polsko! Żali zawsze upiory płodzić będziesz?!...

Idą siłą woli, aby dopaść puszczy, bo tam jeno dla nich zbawienie. Broni żaden niema, chyba tylko przemarznięte, przez zmorę głodu wyssane piszczele rąk. Weszli w głęboką paryję, co prowadzi hen w głąb boru i brną w śniegu po ramiona: pot zalewa im oczy, ale nie baczą na to i nawet go nie ocierają. Znaleźli się wreszcie na skraju puszczy, której drzewa powitały ich szumem bolesnym, przesmutnym: »Bywajcie, bywajcie ku nam, ofiarniki boże; przygarniem was, sieroty bezdomne, piersią przed kulami zbirów zasłonim!«

Przystanęli, dysząc ciężko, ten i ów zwalił się na ziemię i śpi, na nic niepamiętny. Kilku silniejszych widno i wytrzymalszych zbiło się w gromadkę i radzą, co począć? Najgorsze to, że niema broni, a tu sołdaci Bremsena wietrzą za nimi i może już w tej chwili wpadli na ich tropy. Chwili czasu nie ma więc do stracenia. A tu zdania podzielone, nie obeszło się i bez sprzeczki, bo klątwa jakaś na polskich duszach ciąży, że w obliczu śmierci nawet zgody anioł im obcy.

Nagle z oddali, od strony, skąd przyszli wiatr przyniósł jakieś szmery, jakieś dźwięki dziwne; stawały się coraz wyraźniejsze, z szumu wyłaniał się chwilami krzyk głośniejszy, coś niby klątwa... To oddział Bremsena wpadł już na trop garstki straceńców bezbronnych. Ciągną zwolna sołdaci, leniwo, zapadając się w zaspy i przeklinając psią pogodę, miatieżników i nagonkę.

A oni tam jeszcze się kłócą... Aż jeden z nich, młodzian o kruczej czuprynie, o oczach czarnych, z których moc władna biła, szeptem takim, co za krzyk stanie i oporu nie zniesie, mówi:

— Bracia! O ucieczce mowy niema! Trzeba nam broni, broń mają oni! Zbudzić tych, co śpią, każdy niech wyłamie sporego dębczaka, przypadniem w te krzaki, a wąwóz wąski, oni zaś nic nie przeczuwając, idą bezładnie, więc zwycięstwo przy nas! Potem, co Bóg da, byle mieć karabiny i ładunki! Dalej do roboty!

Spodobała się rada i w czyn ją natychmiast zamieniono. Głuchy trzask, jakby na komendę i dłoń każda dzierży spory dębczak. Oczy rozjaśnia ogień zapału, na trupich licach rumieńce płoną; w sercach nadziei kwiat z pod lodu zwątpienia wykwita. Przypadli w krze, dech zapierając w piersi; każdy pierś znakiem krzyża naznaczy, w garść plunie, ściśnie dębczak i czeka. Serca jeno głośno pukają, jakby na apel pobudkę bity. Każda minuta wiekiem się wydaje, a tu dłonie tak świerzbią...

A wąwozem kopią się mużyki, klnąc głośno; ten i ów się pośliźnie i upadnie, w śniegu pyskiem ryjąc, drugi natknie się na niego i również się przewraca. A tu, jak na złość, rozhulała się zadymka i wprost w ślepie sałdackie śniegiem miecie. Jest ich koło trzydziestu; każdy karabin trzyma wysoko, by nie zamoknął. Już wchodzą w las, nic nie przeczuwając, a że wąwóz wąski, idą »gęsiego!« Chwila, a zrównają się z czatującymi w ten sposób, że każdy straceniec ma swego przeciwnika.

Wicher zawył głośniej, a przy jego wtórze rozlega się okrzyk gromki: »Bij w nich!«

— »Spasi Boh!« — rozlega się wycie i rozpoczyna się straszliwa młocka. Dębczaki w krzepkich, zapałem rozgrzanych dłoniach gaszą żywoty zbirów, łomot straszny miesza się z wyciem i jękiem nie ludzkim wijących się w męczarni konania mużyków. Krew z mózgiem zmieszana kala biel śniegu, surowa woń krwi kazi powietrze, a oni młócą bez litości. Najbardziej szaleje ów, co napad ten doradził. Straszne jego oczy zazierają w bielmem strachu zabiegłe ślepia sałdatów, gasząc je spojrzeniem pierwej, nim dębczak jego cios zada śmiertelny.

Nie upłynął »Ojcze nasz«, a z oddziału mużyków trupy jeno zostały strasznie pokiereszowane. Tu i ówdzie miota się jeszcze w śniegu mużyk jakiś z rozwaloną okrutnie głową; z krtani, kościstą dłonią śmierci ściśniętej wydobywa się rzężenie... kopnie parę razy nogami, wypręży się i zostaje na wieczny sen...

Panami placu zostały »Dzieci warszawskie« i rozpoczyna się na roli, trupami przez siebie zasianej, radosne dla nich żniwo. Wyrywają śpiącym snem nieprzespanym mużykom karabiny z zakrzepłych dłoni, odpinają ładownice, napełnione nabojami, ten i ów znajdzie u nieboszczyka manierkę z gorzałką, a w tornistrze chleb czarny sałdacki. Przypijają więc do siebie i radosne »Hurra!« wydobywa się z piersi, boć wszyscy żywi, żaden nawet nie draśnięty; przed nimi droga w puszczę wolna, broń i naboje mają, czegoż im więcej nie staje? Zastępu wrogów chyba, aby im ich własne moskiewskie kule z ich własnych karabinów w pierś nogą despoty deptaną wpakować. O! bo boleśna jest czasem ironia Nemezys dziejowej! Szli, choć i ci sałdaci, na pewne żniwo, nie przeczuwając, że u skraju tej puszczy kurhan założą swój, śmiercią niesławną od kijów z rąk bezbronnych polegną! Hej! Carze biały, zdasz ty za nich ciężki rachunek!...

A dęby-starce szumią »Ave Maria!« za dusze tych, co polegli i pieśń tryumfalną dla Tych, co już chrzest otrzymali i w bój poszli...

Władysław Sioło.



OJCZE NASZ.

Ojcze nasz, Ojcze, który jesteś w niebie,
Do Ciebie szlę ja tęskne prośby moje
I zawsze, zawsze, modlę się do Ciebie,
Święć się na wieki, święć się Imię Twoje!

O przyjdź królestwo Twoje, Ojcze Panie,
Gdyż wiara w Ciebie nigdy nie ustanie,
Ale ja wołam wraz z ludźmi wszystkimi:
Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi.

Chleba naszego daj nam dzisiaj Boże!
Oddalaj od nas głód, bo Ty to możesz,
A jako i my braciom odpuszczamy,
Tak Ty, o Panie, zmiluj się nad nami.

Odpuść nam, odpuść Stwórco winy nasze.
A gdy goryczy wypełnimy czaszę,
Nie będąc ufni miłosierdzia Twego,
Nie karz nas Panie, ale zbaw od złego!

Aleksandra B.

Z ruchu wyborczego.

Coraz żywiej zaczynają się ruszać ludzie w Galicyi z powodu nadchodzących wyborów. Coraz więcej uwija się po wsiach i miastach kandydatów na posłów, oraz ich zwolenników. Jak dalej tak pójdzie, kandydatów namnoży się zapewne kilka setek, z których większość narazi się na niepotrzebną stratę czasu i pieniędzy, a nadto na przykre rozczarowanie. Trudno podawać nazwiska tych wszystkich, często kilkodniowych kandydatów, bo nimi trzebaby zadrukowywać całe numera »Roli«, a pożytku z tego nie byłoby żadnego. Dopiero gdy kandydatury się ustalą, gdy zarządy stronnictw zatwierdzą kandydatów, my czytelnikom swoim polecimy co najgodniejszych z gorącem wezwaniem, aby ich przy wyborach poparli.

Nim to nastąpi, rozejrzyjmy się w składzie Sejmu, który został w ubiegłym miesiącu rozwiązany.

Otóż według dotychczasowej ordynacyi wyborczej, Sejm liczy 161 członków, a to 12 wirylistów t. j. członków Sejmu bez wyboru i 149 posłów wybranych, a mianowicie: 74 z gmin wiejskich, 31 z miast i Izb handlowych, a 44 z wielkiej własności. Z 74 okręgów gmin wiejskich, przypada 27 na zachodnią część kraju, a 47 na wschodnią. Z 27 okręgów zachodniej części kraju miało mandat 18 ludowców, 2 demokratów (Dr Łazarski i Dr Bednarski), 1 centrowiec (Marszałkowicz) i 6 konserwatystów (Skrzyński Brzozów, Mycielski Chrzanów, Tyszkiewicz Kolbuszowa, Kazimierz Lubomirski Myślenice, Z. Tarnowski Tarnobrzeg i Dr Antoni Górski Bochnia). Z 47 okręgów wschodniej części kraju wybranych zostało 21 Rusinów i 26 Polaków. W czasie kadencyi sejmowej zaszła ta zmiana, że w miejsce ś. p. Jana hr. Szeptyckiego wybrany został z okręgu jaworowskiego Iwan Kochanowski, a więc Rusini mieli 22 mandatów (4 Starorusinów i 18 Ukraińców, a Polacy 25 mandatów.

Polscy posłowie ze wschodniej części kraju byli: Bóbrka St. Mycielski, Borszczów Czarkowski-Golejewski, Buczacz St. H. Badeni (obecnie ten mandat był opróżniony, bo po śmierci marszałka Badeniego, St. Henryk Badeni przeniósł się na okręg Kamionka), Cieszanów Jampolski, Czortków Cielecki, Dobromil Dr Czajkowski, Dolina Cipser, Drohobycz Zamoyski, Gródek Brunicki, Horodenka Theodorowicz, Jarosław Czartoryski, Kamionka Badeni, Lwów Merunowicz, Przemyśl Sapieha, Przemyślany Roman Potocki, Rudki Skarbek, Sambor Sozański, Sanok Wrześniowski, Skałat Piniński, Śniatyn Moysa, Sokal Kraiński, St. Sambor Lewakowski, Trembowla Baworowski, Zaleszczyki Tad. Cieński, Złoczów Weiser — czyli 3 ludowców (Jampolski, Cipser i Lewakowski), 1 centrowiec (Wrześniowski), 1 demokrata (Merunowicz), 1 demokrata narodowy (hr. Skarbek) i 20 odcienia konserwatywnego.

Ruscy posłowie, w liczbie 22, reprezentowali okręgi: Bohoradczany, Brody, Brzeżany, Husiatyn, Jaworów, Kałusz, Kołomyja, Kosów, Lisko, Mościska, Nadwórna, Podhajce, Rohatyn, Rawa ruska, Stanisławów, Stryj, Tarnopol, Tłumacz, Turka, Zbaraż, Złoczów i Żółkiew.

Z 31 posłów, wybranych z miast i Izb handlowych, należało 20 do obozu demokracyi polskiej, a 6 do obozu konserwatywnego (minister Biliński, Gorayski, Haempel, Halban, namiestnik Korytowski, Sobolewski). Żydów było w Sejmie 5, a to 2 z miast, a 3 z Izb handlowych (Loewenstein, Sare, Kolischer, Landau i Rittel.

Z 44 posłów z wielkiej własności wszyscy należeli do obozu konserwatywnego, a to: do koła krakowskiego, przeważnie z Galicyi zachodniej, do autonomistów, przeważnie z Galicyi wschodniej i do centrum.

Anglik z przed 15.000 lat.



W Anglii, koło wsi Halling, zrobiono ciekawe odkrycie. Znaleziono szkielet leżącego człowieka w skurczonej postawie, który, według obliczeń uczonych, przeleżał tam piętnaście tysięcy lat. Co dziwniejsze, że nie widać między szkieletem tym a budową dzisiejszych ludzi prawie żadnej różnicy. Ma 5 stóp i 4 cale wysokości, budowa głowy i ciała jest niemal taką jak u żyjących obecnie Anglików; widocznie w tym tak długim przeciągu czasu postać człowieka podlegała tylko małym zmianom. Rozmierzono kości szkieletu; co uczonym do badań było potrzebne a rysownik, kierując się obliczeniami temi narysował na obrazku człowieka, jakim mógł być przed piętnastu tysięcy lat.

Pytanie tylko czy świat przed piętnastu tysięcy lat istniał, gdyż biblia czas trwania ziemi podaje tylko na 6.000 lat.

Widok takiego człowieka nie zdziwiłby nas z pewnością tak, jak jego widok ziemi naszej. Gdyby się tak przebudził z tak długiego snu — a zobaczył świat tak zmienionym; zamiast olbrzymów zwierzęcych, potwory z żelaza pędzące z hukiem przed siebie — jakimi są nasze koleje — tuż obok dymiące smoki — obecne samochody; na wodach olbrzymie góry zamieszkałe — tegoczesne okręty — świat cały splątany drutami telegraficznymi i telefonicznymi.

A wszystkiego tego dokonał takiż sam człowiek uzbrojony nauką i wykształceniem za pomocą mozolnej pracy myśli, cierpliwości i wytrwania.

W niewoli u Kozaka.

(Powiastka z czasów buntów kozackich w 1648 r.).

Będzie temu 265 lat, kiedy w r. 1648, za panowania króla Jana Kazimierza, wielkie nieszczęścia spadły na Polskę. Najazdy Szwedów, Siedmiogrodzian, Turków, Tatarów, bunty kozackie, wielkie rozruchy na Ukrainie i wojna domowa, oto rejestr tych nieszczęść, a cóż dopiero ich skutki? Skutki tych klęsk były straszne. Krew bratnia lała się obficie. Brat walczył przeciw bratu a siostrę w niewolę zabierał i tam znęcał się nad nią.

Kiedy »batko« Chmielnicki ze swą tłuszczą stanął po bitwie pod Krótą Bałką obozem w Korsuniu, jeden z atamanów, Czornyj Iwan, na czele 500 Kozaków wyjechał bez żadnego rozkazu w okolice Korsunia, celem rabunku polskich dworów, kościołów, cerkwi, wsi.

Czornyj ze swym oddziałem, szalał w okolicy, rabował, co mu się nadarzyło, szlachtę, księży, żydów i ludzi spokojnych, którzy do buntu nie chcieli przystać, wieszał nielitościwie, wbijał nagich na pale przy drogach. W jednej wsi postawił przy gościńcu takich pali 500. Psy wyły ze strachu, a wilki z lasów uciekały do wsi. Kozacy ubrani w ornaty i kapy kościelne tańczyli na zabój z »mołodyciamy« w każdej wsi, podpiwszy wprzód sobie palankę z prosa i umazawszy głowy swe dziegciem.

Tak »popasając« w każdej wsi, doszli aż do Temianówki. Tu zrabowawszy dwór, cerkiew, wpadli do wsi, gdzie rozbiegli się po domach, szopach i stajniach, szukając dobytku na rzeź i »mołodyć« do tańca. Rozlegały się krzyki, piski, płacz i lament dziewcząt, które Kozacy wlekli za włosy do tańca, i śmiech Kozaków z upolowania dziewki. To wszystko mieszało się jak w piekielnym kotle. Radość, śmiech, płacz, wrzawa i krzyki zalegały powietrze w całej okolicy.

Ale najśliczniejszą donię upolował sobie Kozak Wasyl Jaszczur. Był to Kozak najsprytniejszy i najprzystojniejszy w całej sotni atamana Czarnego.

Rozpaleni wódką Kozacy tańczyli na zabój z płaczącemi dziewczętami. Po tańcu Kozaków ataman, Czornyj rozkazał swoim »mołodczykom« zbierać się do »batka« Chmiela. Na końcu Kozacy potańczywszy sobie do syta, jedni zabierali ze sobą »mołodycie« do obozu za »swoje«, inni zaś, którzy mieli nadzieję, że jeszcze na taki »popas« pójdą, nie robili sobie trudu, ze zabieraniem »mołodyć«, »pohulały«, »poihrały« z niemi i na pal wbili. Prowadził na końcu oddziału sobie Wasyl Jaszczur »krasną mołodycię za swoją«. Dziewczę siedziało na drugim koniu, który był uwiązany do cugli konia Wasylowego, zaś dziewczę miało na szyi postronek, którego koniec trzymał Wasyl. Dziewczę było smutne i od czasu do czasu błagało pokornie niemiłosiernego Kozaka o wolność:

— Puszczaj mnie, puszczaj, co ci po mnie przyjdzie... Com ci złego zrobiła, że mnie prowadzisz na powrozie jak zwierza, dobrze by ci było, gdyby tak kto twoją siostrę na sznurku prowadził?

— Ej cicho, cicho, krasna ty dziewczyno, ty będziesz moją »hołubcią« — prawił jej Kozak od czasu do czasu, i tak wśród wspólnego szarpania się dojechali do Korsunia, do obozu batka Chmiela.

W obozie zaprowadził Wasyl dziewczynę do swego namiotu, i tu zaraz prawić jej począł »lube« słówka.

— Ty wilku, ty niewstydniku, dobrze by ci było, gdyby tak kto z twoją siostrą postępował — odezwała się po chwili jakiegoś gadania sprośnego w namiocie Wasyla z oburzeniem dziewczyna.

Na słowa te zamyślił się odrazu Wasyl głęboko i usiadł nieruchomo; po chwili zaś rzekł:

— No to ci już nic złego nie zrobię i puszczam cię wolno! Idź sobie precz!

Dziewczyna wstała i zabrała się do odchodu, ale w drzwiach obróciła się do Kozaka i serdecznie mu poczęła dziękować, a na ostatku tak do niego się odezwała:

— A teraz, proszę cię bardzo, opowiedz mi, dzielny Kozacze, jakiegoś ty rodu i skąd pochodzisz, abym wiedziała, gdzie mieszka rodzina tak szlachetnego Kozaka?

— No! jeśli chcesz słuchać, to ci opowiem. Ojciec mój był z pochodzenia Polakiem, ale z jakichś powodów politycznych przeszedł na Rusina i osiadł w Demianówce. Tu był sołtysem, i dobrze mu się wiodło; miałem dwie siostry i trzech braci. Jeden z nich najstarszy zginął w bitwie pod Smoleńskiem po stronie polskiej w r. 1634, akurat coś czternaście lat temu, ja, jako drugi syn, miałem wtedy lat 21 i chciałem, aby mi ojciec oddał gospodarstwo i żeby mnie ożenił. Ojciec nie chciał mi dać gospodarstwa i kazał mi się żenić. Powstała z tego wielka kłótnia w domu i nawet bitka między mną a ojcem, i ja ojca uderzyłem w twarz. Na to ojciec porwał siekierę i chciał mię zabić, ale ja żwawo zwinąłem się i uciekłem. Kryłem się przez trzy dni w lasach, rozmyślając, gdzie się udać, i tak przezwyciężyła chęć wstąpienia do Kozaków i ucieczka na Sicz, i już trzynaście lat, jak się bratam z Kozakami i wojuję, ale nie mam własnego kąta nawet, abym mógł gdzie głowę na starość położyć. Ale starości nie spodziewam się doczekać, bo będzie wielka wojna i mam nadzieję, że mi śmierć »matka« oczy zamknie Oj dolo! moja dolo! — Zaszlochał dziki Kozak, głowę na dół opuściwszy i nawet nie spostrzegł, jakie wrażenie wywarło jego opowiadanie na umysł dziewczyny.

Skoro Kozak skończył swoją opowieść i zadumał się na nowo, dziewczyna, ocknąwszy się z wrażenia, zapytała Kozaka:

— Powiedz mi, jak ty się nazywasz, twoi rodzice i rodzeństwo, bo twoja historya z moją dosłownie się zgadza?

— Ja nazywam się Wasyl — odrzekł Kozak — brat starszy Michał, ojciec Piotr, matka Anna, młodszy brat Józef, siostra Marysia, a druga sio...

— Dosyć! — wykrzyknęła dziewczyna. — Bracie, mój kochany! Tyżeś to, ty, coś mię w niewolę wziął, bracie, mój bracie! — i rzuciła mu się na szyję.

Kozak jednak zadziwił się mocno, dlaczego ta dziewczyna go bratem nazywa i odezwał się do niej:

— Nie wiem, czyś naprawdę moją siostrą, bo, gdym odchodził do Siczy, to najstarsza liczyła lat 14, a młodsza osiem. Opowiedz mi swoją historyę.

Dziewczyna z ochotą i z zapałem opowiadać zaczęła.

Zbytecznem byłoby pisać jej opowiadanie. Gdy skończyła, Kozak rzucił się jej na szyję i całował gorąco, wołając:

— Siostro, moja kochana! siostro!

Jeszcze tego dnia opuścili oboje obóz »batka« Chmielnickiego i udali się do obozu księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Wasyl wstąpił do dragonów księcia i był dzielnym rycerzem, odznaczając się pod Zbarażem. Potem ożenił się i był w dobrach księcia polowym. Zginął chwalebnie w bitwie pod Beresteczkiem.

K. Polak.

CZARNA ZARAZA.

8. Rozmowa z karłem.

Archiwum zamkowe. Karzeł na drabinie. Portrety rodzinne. Maleńki przodek. Cudowny paw. Żony Hugona. Dziwne podobieństwo.

Sama sala również ściągnęła moją uwagę. Była to komnata wysoka, ciemna, zapylona, o wielkich oknach, zaczynających się od wierzchołka sklepienia i zbiegających łukowato ku podłodze. Mnóstwo półek zarzuconych księgami i papierami wskazywało nazwę tej sali. Było to archiwum zamkowe. Znajdowały się tam nietylko wszystkie dokumenty, tytuły rodzinne Nideckich, stwierdzające ich prawa, stosunki i związki z najznakomitszymi domami w Niemczech, ale również wszystkie kroniki Czarnego Lasu, zbiory dawnych poetów i wielkie księgi wyszłe z pod prasy Gutenberga, wynalazcy druku, a szacowane zarówno ze względu na ich pochodzenie, jak na pomnikową trwałość okładzin. Wielkie cienie sklepienia, powlekające ściany swoją szarą barwą, nadawały tej komnacie pozór średniowiecznych klasztorów, a ów karzeł, siedzący na wierzchu drabiny z olbrzymią księgą na wątłych pokrzywionych kolanach, z głową okrytą futrzaną czapką, z pod której błyszczały siwe, bystre oczki, ze spłaszczonym nosem i wypukłemi plecyma, robił istotnie wrażenie szczura, jak go nazywał Sperwer, w tym przybytku wiedzy w Nidecku.



Spoglądał na niego z wysokości drabiny, nie ruszając się.

Ale co nadawało sali archiwalnej doniosłość prawdziwie historyczną, to były portrety rodzinne, zajmujące całą jedną ścianę. Byli tam wszyscy Nideckowie, mężczyźni i kobiety, począwszy od Hugona Wilka, aż do Jeri-Hansa, obecnego posiadacza zamku, począwszy od niekształtnych bohomazów z czasów barbarzyńskich, aż do arcydzieł najznakomitszych mistrzów naszej epoki.

Spojrzenia moje skierowały się naturalnie w tę stronę.

Hugo pierwszy o łysej głowie, zdawał się patrzeć na mnie, jak patrzy wilk na skraju lasu. Szare, zabiegłe krwią oko, broda ruda, szerokie włochate uszy nadawały mu pozór przerażającej dzikości. Tuż obok, jak gołąbka przy orle, widniała postać młodej kobiety o wyniosłem czole i łagodnem wejrzeniu. W rękach, skrzyżowanych na piersiach, trzymała książkę do nabożeństwa; włosy jej bujne i jasne, rozdzielone na środku głowy, opadały po obu stronach twarzy, w jedwabistych splotach, tworząc dokoła tej ślicznej twarzyczki niby złotą aureolę. Głównie jednak uderzyło mnie podobieństwo jej z Odilą Nideckówną.

Nie można sobie wyobrazić nic bardziej uroczego nad to stare malowidło na drzewie, trochę sztywne, ale zachwycające naiwnością swą i prostotą.

Patrzyłem na nie czas jakiś, gdy drugi, obok wiszący portret kobiety, ściągnął moją uwagę. Był to znów typ wizygocki w całej swej pierwotności. Czoło szerokie i nizkie, oczy żółte, policzki wystające, nos orli.

— Tak, ta kobieta musiała być odpowiednią towarzyszką dla Hugona — pomyślałem sobie.

Rzuciłem okiem na ubiór; był on w zgodzie z energicznym charakterem głowy. Ręka prawa opierała się na mieczu, żelazny gorset obciskał kibić.

Trudno mi określić myśli, jakiemi mnie widok tych trzech potretów napełnił. Przenosiłem wzrok z jednego na drugi ze szczególną ciekawością. Nie mogłem się od nich oderwać.

Sperwer, zatrzymawszy się na progu biblioteki, gwizdnął przeciągle.

Knapwurst spoglądał na niego z wysokości drabiny, nie ruszając się.

— Czy to na mnie gwiżdżesz, jak na psa? — zapytał.

— A tak, przeklęty szczurze. Chcę cię tak uhonorować.

— Niechaj! — rzekł Knapwurst głosem najwyższej pogardy — choćbyś chciał nie wiem jak, nie możesz nawet plunąć na wysokość mego trzewika. Drwię sobie z ciebie.

I pokazywał mu podeszwę.

— A jeżeli wejdę na drabinę?

— Palnę cię w łeb tą księgą.

Gedeon zaczął się śmiać, mówiąc:

— No, no, nie gniewaj się, garbusku, nie gniewaj. Źle ci nie życzę, owszem, szanuję twoją wiedzę; ale co u dyabła robisz tam tak wcześnie przy lampie? Powiedziałby kto, żeś noc na drabinie przepędził.

— Rzeczywiście, spędziłem ją tu na czytaniu.

— Alboż dnie na to nie dosyć długie?

— Nie, zaprząta mnie teraz jedna bardzo ważna kwestya, i dopóty nie zasnę, dopóki jej nie rozwiążę.

— Tam do licha! Cóż to takiego?

— Chcę się dowiedzieć, jakim sposobem Ludwik Nideck znalazł mego przodka Ottona Karła w lasach turyńskich. Trzeba ci wiedzieć, Sperwerze, że mój prapradziad miał zaledwie półtory stopy wysokości, zachwycał wszystkich swoim rozumem i bardzo zaszczytny brał udział w uroczystościach koronacyi cesarza Rudolfa. Hrabia Rudolf kazał go włożyć w pawia, którego podano na stół z piórami; było to jedno z najwykwintniejszych dań owych czasów; ozdabiano je posrebrzanymi złoconymi prosiaczkami. Podczas uczty Otton rozwijał ciągle ogon pawia i wszyscy zgromadzeni przy stole panowie i damy nie mogli wyjść z podziwienia nad cudownością tego mechanizmu. Aż tu Otton wychodzi z pawia z szablą w ręku i woła donośnym głosem:

»Niech żyje cesarz Rudolf Habsburski!« Bernard Hertzog opisuje to wszystko, ale nie dodaje, skąd pochodził karzeł, czy był z wysokiego rodu, czy z ludu... choć to ostatnie wydaje mi się nieprawdopodobnem.

Zdumiewała mnie duma tego karzełka, ale ciekawość kazała mi go oszczędzać: on jeden mógł mi do starczyć objaśnień co do obu kobiecych portretów.

— Panie Knapwurst — rzekłem — czy zechcesz pan rozjaśnić mi pewną wątpliwość?

Te słowa pochlebiły mu widocznie; odezwał się z pośpiechem:

— Mów pan, mów. Jeżeli chodzi o kroniki, jestem gotów zaspokoić ciekawość pana. O resztę nie troszczę się.

— Właśnie chciałbym się dowiedzieć, jakie mianowicie osoby przedstawiają te oto portrety.

— A! a! — rzekł Knapwurst, którego rysy ożywiły się — mówisz pan o Jadwidze i Huldinie, dwóch żonach Hugona. — I, odłożywszy księgę, zszedł z drabiny, aby swobodniej ze mną rozmawiać. Oczy mu błyszczały; widoczne było, jaką mu to przyjemność sprawiało, że się mógł przede mną ze swoją wiedzą popisać. Stanąwszy na ziemi, ukłonił mi się poważnie. Sperwer stał za mną zachwycony mojem zajęciem się osobą karła nideckiego, bo choć wierzył w jego złe wpływy na swoje myśliwskie losy, pysznił się mimo to jego rozległemi wiadomościami.

— Panie — zaczął Knapwurst, wyciągając długą, żółtą rękę ku portretowi — Hugo Nideck, pierwszy ze swego rodu poślubił w roku 832 Jadwigę Lutzelburg, która wniosła mu w posagu hrabstwa Giromanii, Hoch-Barru, zamki Geroldseck, Teufels Horn i inne. Hugo Wilk nie miał dzieci z tej pierwszej żony, która umarła młoda, roku pańskiego 837. Wtedy Hugo nie chciał oddać posagu jej rodzinie. Nastąpiły krwawe zatargi pomiędzy nim a szwagrami. Ale ta druga, którą pan widzisz, w żelaznym gorsecie, Huldina, dopomogła mu swoją radą. Była to kobieta wielkiej odwagi. Niewiadomo skąd się ona wzięła i jakie było jej pochodzenie, ale ona to uratowała Hugona, którego więził Franc Lutzenburg. Tego dnia właśnie miano go wieszać, przygotowano już szubienicę, gdy Huldina na czele wojska hrabiego, które odwagą swą pociągnęła za sobą, wdarła się do twierdzy, oswobodziła Hugona, a Franca na jego miejsce powiesić kazała. Hugo poślubił ją w roku 842 i miał z nią troje dzieci.

— Tak więc — rzekłem zadumany — pierwsza z tych kobiet nazywała się Jadwiga, potomkowie rodu Nidecków nie mają z nią nic wspólnego.

— Nic.

— Czy pan jesteś tego pewien?

— Mogę panu pokazać drzewo genealogiczne*). Jadwiga nie miała dzieci. Huldina miała troje.

— To dziwne.

— Dlaczego?

— Zauważyłem pewne podobieństwo.

— Ot! podobieństwa! — zawołał Knapwurst z wybuchem niemiłego śmiechu. — Spójrz pan na tę tabakierkę; jest na niej portret mego pradziadka, Hans-Wursta. On ma nos jak do gaszenia świec i podbródek okrągły, ja mam nos płaski, podbródek śpiczasty... i czy to przeszkadza, żebym był jego wnukiem?

— Zapewne, że nie.

— A widzisz pan; tak samo z Nideckami. Mogą mieć sobie rysy Jadwigi, nie przeczę, ale mimo to Huldina jest ich rodzicielką. Zobacz pan drzewo genealogiczne, proszę, zobacz pan!

Rozstaliśmy się z Knapwurstem w najlepszej przyjaźni.

*) Spis przodków jakieś rodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi),

Z TYGODNIA.

Ruch przedwyborczy jeszcze nie rozwinął się w Galicyi, lubo od wyborów dzieli nas czas już niedługi. Zanotować należy tylko powstanie w Galicyi zachodniej Związku chrześcijańsko-ludowego, do którego przystąpili Wszechpolacy, Stojałowczycy i centrowcy. Związek ten postawi we wszystkich okręgach Galicyi zachodniej swoich kandydatów. Partye ruskie wyznaczyły już swych kandydatów na wszystkie okręgi Galicyi wschodniej.

List pasterski biskupów ruskich. Arcypasterze gr.-kat. obrządku w Galicyi wydali z powodu zbliżających się wyborów do Sejmu wspólny list pasterski do narodu ruskiego. W liście tym biskupi podnoszą między innemi konieczność przeprowadzenia reformy wyborczej, a co za tem idzie, doprowadzenia do skutku ugody obu narodowości kraj zamieszkujących. »Już za długo, piszą biskupi ruscy, trwają walki między nami. Rozdzieleni niesprawiedliwością i nienawiścią, bracia wyciągają wzajemnie do siebie ręce i zbliżają się do zgody. Daj Boże, aby święte dzieło zgody pomiędzy bratnimi narodami czemprędzej się ziściło«.

Umorzony proces biskupa. Senat petersburski rozstrzygnął, że sprawy rozwodowe małżeństw maryawitów podlegają sądowi cywilnemu, maryawitow zaś z katolikami — albo sądowi arcybiskupiemu warszawskiemu albo cywilnemu, zależnie od przynależności pozwanego do jednego lub drugiego wyznania. Biskupi za przestępstwa służbowe pociągani są do odpowiedzialności karnej i oddawani są pod sąd przez I oddział senatu, a sądzeni są przez karny oddział kasacyjny senatu. Zgodnie z tem orzeczeniem wyrok warszawskiej Izby sądowej, wydany na ks. biskupa Ruszkiewicza, o czem pisaliśmy w swoim czasie, będzie umorzony i ks. biskup nie będzie odsiadywał więzienia.

Zawarcie pokoju. Dnia 30 maja 1913 roku w Londynie przedstawiciele państw bałkańskich i Turcyi podpisali warunki pokojowe. Faktem tym zakończoną została krwawa wojna, z której Turcya wyszła zupełnie pokonana i pozbawiona prawie wszelkich krajów w Europie, a państwa bałkańskie wzmocniły się ogromnie przez zdobycie nowych ziem i stanowią teraz w Europie poważny czynnik wojskowy, z którym się liczyć należy. Dzień 30 maja stał się historycznym dla całego Bałkanu. Na uroczystem tem posiedzeniu angielski minister spraw zagranicznych, Grey, który prowadził rokowania, w podniosłej mowie dał wyraz zadowoleniu króla angielskiego z powodu tego faktu, oraz angielskiego rządu. »Mam nadzieję, rzekł, że panowie wszyscy żywicie wobec tego faktu uczucia zadowolenia i ulgi. To uczucie podzielają i mocarstwa, które pozostały neutralnemi, lecz wciąż wyglądały pokoju waszego w interesie pokoju Europy. Wiemy, że jeszcze niejedna kwestya pozostaje do rozwiązania, ale wierzymy, że zawarcie tego pokoju ułatwi także uregulowanie tych spraw, czego wam życzą wszystkie mocarstwa«. Dał potem wyraz ukontentowaniu, że przez cały czas mógł utrzymywać z delegatami żywe stosunki przyjacielskie. »Z całego serca, zakończył, życzę wam zupełnego uspokojenia, aby każde z waszych państw mogło odnowić nadczerpane źródła swych zasobów, rozwijać swoje nowe posiadłości, zabezpieczyć dobrobyt swego ludu i postęp swego narodowego życia«. Delegat bułgarski, Dr Danew, podniósł, że dzień ten będzie dla ludów bałkańskich historycznym, które kładąc koniec wojnie, przywracają znów warunki, które tym krajom pozwolą odnowić poprzednie dobre sąsiedzkie sto-

sunki. Ciężkie próby na polach bitew ustąpią teraz miejsca nowym zadaniom przyszłości. Zwracając się do ministra Greya, podziękował mu gorąco za jego wytrwałą pracę około dzieła pokojowego, a za gościnność Anglii, gdzie pokój mógł dojść do skutku.

Osobliwy sojusz. Bułgarya zadała, jak wiadomo, Turcyi największe ciosy, najświetniejsze nad nią odniosła zwycięstwa. Narody te nienawidzą się też od wieków. Potrzeby polityczne doprowadzają jednak do związków, umów czy sojuszów zdawałoby się wprost nieprawdopodobnych. Oto ostatnie wiadomości z Konstantynopola i Sofii opiewają, że miedzy pokonaną Turcyą i Bułgaryą został zawarty układ na wypadek wojny bułgarsko-serbskiej. Turcy mają pośpieszyć Bułgaryi z pomocą, w zamian zaś za to otrzymają łagodniejsze warunki pokojowe, mianowicie traktowani będą przez Bułgarów względniej przy wytyczaniu granicy turecko bułgarskiej. Czy do wojny serbsko-bułgarskiej przyjdzie, dziś przewidzieć nie można, i czy taki układ został zawarty — w każdym jednak razie, ponieważ w polityce decyduje interes i potrzeba chwilowa, więc nie jest wykluczone, że niedawni wrogowie w przypuszczalnej wojnie będą sprzymierzeńcami.

Spór serbsko-bułgarski. W skupsztynie (sejmie serbskim) w Belgradzie prezydent ministrów, Pasić, wypowiedział długą i bardzo wojowniczą mowę przeciw Bułgaryi. Starał się udowodnić, iż umowa z Bułgaryą, zawarta przed wojną, Serbii już nie obowiązuje, lecz Serbia ma prawo do ziem, które wedle tej umowy miały przypaść Bułgaryi. Popierał te twierdzenia tem, że Serbia Bułgaryi pomagała pod Adryonopolem i Bułgarya osiągnęła ogromne korzyści z wojny, tak wielkie, że jej potęga zagrażałaby równowadze na Bałkanie. Ale mowa ta była pojednawczą, przyjacielską do Austryi. Między innemi Pasić bowiem powiedział: Nie zapominajmy jednak, że przez rozwiązanie kwestyi bałkańskiej naruszyliśmy materyalne interesy jednego z państw (t. j. Austryi) i że mamy teraz obowiązek, z biegiem czasu, te rany zagoić i nawiązać przyjazne, zdrowe stosunki ze wszystkiemi państwami, które zrzekły się pretensyi do własnych zdobyczy na Bałkanie, a życzą sobie z państwami bałkańskiemi żyć w przyjaźni i pokoju.

Bułgarya jednak ani myśli pogodzić się w tym kierunku z Serbią i obstaje przy dotrzymaniu przez nią warunków umowy, zawartej przed wojną. Wiadomości z Sofii, stolicy Bułgaryi, brzmią bardzo wojowniczo. Doniesiono stamtąd urzędowo o zatrzymaniu ruchu pociągów dla mobilizacyi wojska. Dalej donoszą, że król przyjął szefów stronnictw, którzy bez wyjątku oświadczyli, że Bułgarya obstawać musi przy swoich pretensyach bez względu na następstwa. Mimo tych wiadomości w Europie jednak nie wierzą w bliskość wojny bułgarsko-serbskiej. Sądzą, że burza tym razem zostanie przez Rosyę i Francyę zażegnana, jednak wierzą, że w późniejszej porze rozrachunek między temi dwoma państwami okaże się nieuniknionym, to znaczy, że związek bałkański nie ma widoków trwałego istnienia.

Zatarg grecko-bułgarski. Mimo potyczek wojsk z obu stron, w poważnych kołach politycznych sądzą, że spór ten da się łatwo i już rychło załagodzić na drodze pokojowej.

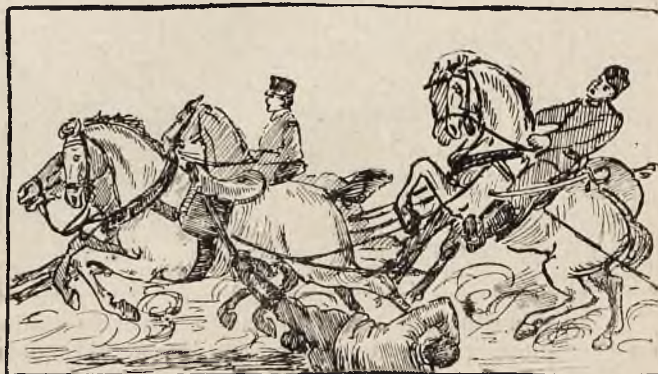
Ochotnicy w wojnie bałkańskiej. Dzienniki czeskie obliczają, że w wojnie bałkańskiej brało udział 2836 Słowian z Austryi, jako ochotnicy; w tem tylko 40 Czechów. Z ogólnej liczby ochotników 600 wróciło zdrowych, 700 pozostaje w szpitalu, 1400 zginęło na polach bitew. Z 40 Czechów powróciło do kraju tylko 6.

KRONIKA.

Tow. wstrzemięźliwości „Eleuterya." Dn. 29 kwietnia b. r. odbyło się w Krakowie poufne walne zgromadzenie członków Związku Eleuteryi, które zagaił wiceprezes p. Zagórski. Sekretarz p. Cieplik odczytał protokół ostatniego walnego zgromadzenia a następnie przedstawił sprawozdanie z działalności zarządu za pierwszy kwartał 1913 r. Doniosłą sprawę zamykania szynków w niedziele i święta, rozpoczętą przed kilku laty, prowadzono w dalszym ciągu na zgromadzeniach »Związku katol. właścicieli realności« gmin podmiejskich. Obecnie przygotowuje się odezwę do posłów w powyższej sprawie, która, jest nadzieja, że poruszona przez nich ponownie w Sejmie, a poparta przez księcia biskupa krakowskiego, Sapiehę, i innych, odniesie pożądany skutek. Sprawozdanie wymienia dalej szereg odczytów, urządzonych przez Tow. Eleuterya, których treścią przedstawienie zgubnych skutków alkoholu.

Otwarcie nowej fabryki w zagłębiu krakowskiem. Niedawno otwarto w Sierszy, obok kopalń węgla i obok nowej centrali elektrycznej wielką fabrykę cementu Towarzystwa akcyjnego »Górka«. Fabryka ta powstała dzięki Edwardowi hr. Mycielskiemu, przy pomocy galicyjskiego Banku przemysłowego. Podczas uroczystego otwarcia fabryki, gości przybyłych oprowadzał hr. Mycielski. Zwiedzanie rozpoczęto od kamieniołomu, gdzie wydobywa się surowy materyał dla fabryki. Po kolei przechodzono wszystkie ubikacye obszernej fabryki. — Zwiedzono więc najpierw olbrzymie młyny, które mielą surowy materyał ten, przechodzący do pieców rurowych długości po 40 metrów, skąd dostaje się do dalszych budynków, gdzie suszy się go i pakuje w beczki. Fabryka posiada własna fabrykę beczek, urządzoną doskonale i zaopatrzoną w najnowsze maszyny. Fabryka urządzona jest na produkcyę 500 wagonów cementu rocznie. Cały personal urzędniczy fabryki jest polski. Robotników zatrudnionych jest około 200.

Straszny zgon żołnierza. Niedawno temu podczas ćwiczeń polowych 2-go oddziału 1 bateryi polnej artyleryi na Błoniach rakowickich pod Krakowem zdarzył się wypadek, którego ofiarą padło jedno młode życie ludzkie. Oto pod Józefem Łysinem z Jeleśni koło Żywca, który kierował pierwszą parą koni, ciągnących dwie armaty, upadł koń podczas pełnego galopu tak, że nieszczęśliwy żołnierz nie mogąc uwolnić nóg ze strzemion, był wleczony przez poprzednie pary koni na przestrzeni kilkudziesięciu metrów z taką siłą, iż głową orał bruzdy.



Na dobitek, kiedy nareszcie pozbył się strzemion, przejechały po nim koła armat, powodując gwałtowny krwotok wewnętrzny a w następstwie natychmiastową śmierć. Obrazek nasz przedstawia ten straszny wypadek.

Sejmik relacyjny. Dnia 25 maja odbył się sejmik relacyjny, zwołany przez posła Dra Matakiewicza w Olszynach. Przy szczelnie zapełnionej sali szkolnej, w której się zgromadzili wyborcy nietylko miejscowi, lecz także i z wsi okolicznych, po wyborze prezydyum, do którego weszli: jako przewodniczący ks. Florek, zastępca naczelnik gminy p. Majzner i sekretarz p. Chrapusta i po zagajeniu zgromadzenia przez przewodniczącego, który w pięknych słowach streścił cel zgromadzenia, udzielono głosu p. posłowi. Po przeszło dwu-godzinnej nadzwyczaj treściwej i dla ogółu przystępnej mowie, zdał p. poseł sprawozdanie z całej działalności poselskiej. Przy końcu nawiązała się bardzo ożywiona dyskusya, w toku której przemawiali: marszałek tut. powiatu bar. Götz, który również na zgromadzenie przybył, Józef Majzner, Walenty Hebda, Józef Machorski, Franciszek Zygadło i wielu innych. Po zakończeniu dyskusyi, na wniosek gospodarza p. Stanisława Owcy, wśród oklasków, udzielono jednogłośnie p. posłowi Drowi Matakiewiczowi wotum zaufania, poczem zebrani rozeszli się do domów.

Śmierć od pioruna. Dnia 18 maja schronił się podczas burzy w Wilczyskach, w powiecie grybowskim Wojciech Tomasik pod lipę, stojącą obok kościoła, w którem odbywało się nabożeństwo. — Wskutek uderzenia piorunu w lipę został Tomasik rażony piorunem i wkrótce zakończył życie.

(P. N.) **S. p. ks. Dr Wiktor Gnoiński**. W sobotę d. 17 maja odbył się w Zabrzegu, w powiecie bielskim, na Śląsku, pogrzeb ks. kanonika jubilata Wiktora Gnoińskiego, ur. w Kozinie, na Wołyniu. Ks. Gnoiński musiał uciekać z Królestwa Polskiego z powodu prześladowań moskiewskich i zamieszkał u nas, pomagając proboszczom w pracy duszpasterskiej przez 40 lat. Przez całe życie był nieprzyjacielem alkoholu i tytoniu. Dożył sędziwego wieku, 91 lat. Pogrzeb odbył się przy udziale 18 księży, straży pożarnej, tłumów ludności. Darzył go Pan Bóg przez całe życie czerstwem zdrowiem. Zgon poprzedziła krótka czterodniowa choroba.

Zabici od pioruna. Towarzystwo z Wiednia, złożone z 12 osób, wybrało się na całodniową wycieczkę. Około południa powstała burza, skutkiem czego całe towarzystwo szukało schronienia w ustronnym baraku leśnym. Zaledwie jednak znaleźli się w środku, uderzył piorun, rzucając wszystkie osoby o ziemię. Po pewnym czasie kilka z nich przyszło o tyle do siebie, iż mogły zająć się niesieniem pomocy pozostałym.



Dwaj mężczyźni leżeli bez życia, zabici na miejscu piorunem, trzy inne osoby wiły się wśród bólów na ziemi, a ciało ich pokryte było ranami skutkiem poparzenia. Cztery inne osoby odniosły lżejsze obrażenia. Z niezbyt odległego schroniska sprowadzono pośpiesznie pomoc, wszelkie jednak starania, by porażonych przywrócić do życia, nie dały rezultatu. Cztery ciężko ranne osoby przeniesiono na noszach do doliny, a stąd do szpitala. Trzy lżej ranne osoby, po opatrzeniu przez lekarza, same mogły wrócić do domu.

Śmierć szpiega. W Wiedniu odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru pułkownik sztabu generalnego z Pragi, Redl. Był on, jak się okazało, od dawna najniebezpieczniejszym szpiegiem rosyjskim. Dzięki jego usługom wszystkie plany, wypracowane przez austryacki sztab generalny, Rosya miała zakomunikowane wcześniej, aniżeli sztaby austryackie wewnątrz państwa. O wszystkich zarządzeniach wojskowych, poczynionych przez Austryę na granicy Galicyi, Rosya poinformowana była przez Redla jak najdokładniej. Gdy wyszło na jaw jego niecne rzemiosło szpiegowskie, którem trudnił się od 19 roku życia, władze wojskowe zawezwały go do Wiednia i tam oficerowie zawiadomiwszy go, że wiadomem jest jego szpiegostwo, dali mu do ręki rewolwer. Szpieg, zamiast hańbiącego wyroku sądu wojskowego, który go oczekiwał, wybrał śmierć i kula rewolwerowa przecięła pasmo żywota zdrajcy.

Rozmowa starszych przy dzieciach. Jak trzeba uważać, co się mówi przy dzieciach, które potem przez naiwność mogą spowodować nieszczęście, dowodem następujący wypadek: Pewien przedsiębiorca budowlany w Budapeszcie, powróciwszy wieczorem z przechadzki do domu, zastał 3 i pół letniego synka i półtoraroczną córeczkę, leżących bez przytomności na podłodze. W mieszkaniu czuć było zapach gazu, a kurek gazu był odkręcony. Z trudem przywołali lekarze oboje dzieci do przytomności. Ocucony synek opowiedział, że chciał sobie i siostrzyczce odebrać życie ze zmartwienia, że matka nie wzięła ich na przechadzkę. Dzieciak wpadł na taki pomysł, słysząc przy obiedzie opowiadanie ojca o popełnionem przez kogoś samobójstwie przez wdychanie gazu.

Polowanie na pana młodego. W Warszawie zdarzyła się zabawna przygoda. Oto na jednej z ulic panna młoda w stroju ślubnym goniła swego niedoszłego męża, który rozmyślił się w ostatniej chwili i zamiast do ślubu, chciał uciec do domu. Przechodnie ujęli zbiega i parę młodą odprowadzono do cyrkułu, a następnie opornego narzeczonego zmuszono do wzięcia ślubu.

Straszny wybuch. W Lublinie, w Królestwie Polskiem, zdarzył się straszny wypadek. W cukrowni »Lublin«, przy otwieraniu zbiornika z tlenem (składowa część powietrza), zajęci byli w tym czasie dwaj pracownicy: chemik Zygmunt Laskowski i praktykant Nieciągiewicz. Po wybuchu, który był tak silny, że huk zaalarmował całe miasto, wśród odłamków różnych przedmiotów znaleziono zeszpecone w okropny sposób zwłoki chemika Laskowskiego i jego pomocnika Nieciągiewicza. Przyczyną wybuchu była nieostrożność przy otwieraniu zbiornika.

»Tajna szkoła polska«. Przed sądem okręgowym w Mińsku stanęła Petronela Osipowiczowa, niezamożna wdowa, zamieszkała w Rakowie. Na ławę oskarżonych zawiodło ją wykrycie w jej mieszkaniu i pod jej kierownictwem prowadzonej »tajnej szkoły polskiej« w mniemaniu władz rosyjskich. — W rzeczy samej Osipowiczowa zebrała kilkoro dzieci razem, aby ich uczyć... pacierza. »Przestępstwo« to wykryto, spisano protokół i skazano »nauczycielkę« na 50 rubli grzywny lub areszt 20 dniowy! Osipowiczowa nie miała z czego kary zapłacić i winę swą odsiedziała. Wyszedłszy z aresztu, powtórnie za tę samą rzecz stanęła przed sądem okręgowym. Sąd wysłuchał i znów skazał biedną mieszkankę Rakowa na 1 rubla grzywny, »szkołę« zaś nakazał zamknąć. Jako wysoce charakterystyczny szczegół należy dodać: »nauczycielka« Osipowiczowa dwa razy skazana

za prowadzenie »tajnej polskiej szkoły« jest niepiśmienną! Doprawdy, aż ośmiesza się rząd rosyjski prześladowaniem takich »szkół!«

120 lat życia. W jednem z miasteczek Królestwa Polskiego zmarł niejaki M. Struk. Urodził się w r. 1793 w Hiszpanii. Stamtąd powędrował do Krakowa. W powstaniu 1803 r. walczył naprzód jako żołnierz, potem jako oficer. W młodych latach przeniósł się do Łodzi, gdzie do spółki z założycielem fabryki Poznańskich handlował wełną. Zmarł niedawno w 120 roku życia. Dopiero przed pięciu laty przestał pracować. Do końca życia był gorącym patryotą polskim.

Złośliwość obłożonych grzywną. Pewna gazeta petersburska, skazywana obecnie ciągle na grzywny, zapowiada, że następną grzywnę pięciuset rublową zapłaci w kopiejkach, otrzymanych ze sprzedaży ulicznej pisma. Dzienniki rosyjskie przypominają, że pewien niesłusznie obłożony grzywną marszałek szlachty zapłacił tysiąc rubli kary w kopiejkach. Urzędnik, który grzywnę przyjął, obliczał kopiejki dwa dni i dwie noce; w końcu omylił się i musiał zacząć obliczanie od początku, co mu zajęło tę samą ilość czasu.

Zabicie dyabła. W jednej ze wsi na Syberyi, jeden z gospodarzy udał się z żoną w odwiedziny do krewnych. W chacie pozostały dzieci: 11-letni chłopiec i 7-letnia dziewczyna. Późno wieczorem dzieci usłyszały pukanie do drzwi, wystraszony więc chłopiec zapytał: — Kto tam? — Ja. — Nie znam was. — Jak to, czyż mnie nie poznajesz? Jestem twój tatuś. Dzieci otworzyły drzwi i ku swemu przerażeniu zobaczyły przed sobą jakąś czarną straszną postać. Dzieci szybko cofnęły się i ukryły pod ławką. Ale straszny gość krzyknął groźnie na dzieci i zawołał: — Jestem dyabeł i zaraz was zjem, jeżeli nie powiecie, gdzie tatuś chowa pieniądze? — Dzieci odrzekły, iż ojciec przechowuje pieniądze w piwnicy. »Dyabeł« otworzył drzwi do piwniczki w podłodze, wszedł tam i zaczął poszukiwać pieniędzy. Tymczasem chłopiec zaczął naradzać się z siostrą. — Dyabeł pieniędzy nie znajdzie i nas zje. Nie widziałaś gdzie tatuś schował rewolwer? Będę strzelał do dyabła. — Rewolwer jest pod poduszką — odpowiedziała mała. — Chłopiec szybko wydobył rewolwer i stanął przy otworze piwnicy, a kiedy »dyabeł« wysunął kudłaty łeb, chłopiec dał strzał i »dyabeł« wpadł z powrotem pod podłogę. Strzał posłyszeli sąsiedzi i przybiegli do chaty, a dowiedziawszy się o wypadku, zaczęli szukać wójta miejscowego. Wobec tego, że go nie odszukali we wsi, zawiadomili sołtysa i przyszli z nim, aby dokonać oględzin. Ku zdziwieniu wszystkich w postaci »dyabła« poznano samego wójta tej wsi już martwego.

Polka na wojnie bałkańskiej. Jedna z gazet wiedeńskich ogłasza rozmowę z żoną generalnego konsula austryackiego w Janinie, mieście zdobytem przez Greków, p. Elżbietą Bilińską, która przez cały czas oblężenia znajdowała się w Janinie. Bilińska opowiada, że przez trzy miesiące nie przyszła ani jedna gazeta, ani jeden list, ani jeden telegram. Tu i ówdzie udało się tylko przemycić do miasta gazetę grecką, za którą jednak płacono olbrzymie sumy. Za prawo półgodzinnego posiadania tej gazety żądano i płacono 16 koron. Wojska tureckie zachowywały się wzorowo, mimo ogromnego braku żywności. Żołnierze tureccy wyglądali jak cienie. Każdy żołnierz dostawał dziennie ćwierć kilograma mięsa i 100 gramów chleba kukurudzanego. W całej Janinie nie było ani kawałka cukru, ani kropli nafty. W konsulacie austryackim było tylko kilka lampek oliwnych i dwie świece. W miarę przeciągania się oblężenia nędza stawała się coraz większa. Za ćwierć kilograma mięsa płacono w ostatnich czasach 2 korony. Ludność żywiła się padliną końską i roślinami, z powodu czego było mnóstwo chorych. P. Bilińska była jedyną pielęgniarką chorych w szpitalu wojskowym. W czasie swego pobytu w szpitalu nabawiła się zakażenia krwi i do dziś dnia nosi jeszcze bandaże.

Wyspa Ada Kaleh. Obrazek poniżej zamieszczony przedstawia maleńką wyspę na Dunaju Ada Kaleh, którą niedawno wcielono do Austro-Węgier. Gazety wiedeńskie piszą żartobliwie, że pewna część poddanych monarchii Habsburgów srodze dotknięta jest wcieleniem tej wyspy, a to z następującego powodu: Wyspa Ada Kaleh należała wprawdzie do Turcyi, ale tylko na papierze. Większa część polityków tureckich zgoła nawet nie wiedziała o istnieniu tej wyspy i o tem, że Turcyi można jeszcze coś zabrać nad Dunajem.



Wyspę nazywano od dawna Niczyją i na ten temat napisał nawet powieściopisarz węgierski Maurycy Jokai ciekawą powieść. Mieszkańcy rządzili się zupełnie autonomicznie, mieli nawet pewne przywileje, a mianowicie prawo sprowadzania sobie z Turcyi bez cła tytoniu i papierosów, które masowo i z wszelką łatwością przemycali do Austryi. Teraz, gdy wysepka przechodzi pod rząd węgierski, przywilej ten ustaje — i liczni lubownicy dobrego i taniego tytoniu na południu monarchii bardzo są z tego niezadowoleni.

Przygoda w kuchni Mahometanina. Dwie panie francuskie, siostry Dubris, które wybrały się w podróż do Tunisu, północno afrykańskiego kraju, doznały tam niemiłej przygody. Zwiedzając miasto i oglądając osobliwe życie mieszkańców, spostrzegły w jednej z ulic bramę otwartą — i wiedzione ciekawością, weszły na dziedziniec, następnie w korytarz, z którego kilka stopni wiodło w dół do izby w suterenach. Poczuwszy woń smażących się potraw, sądziły, że znajdują się koło kuchni — i weszły do izby. Ujrzały tam kucharza arabskiego, który właśnie zarzynał kurczę. Gdy Arab spostrzegł europejskie kobiety, rzucił się ku nim z wielkim gniewem i krzycząc coś, czego oczywiście nie zrozumiały, wepchnął je do sąsiedniej komórki, z której wypuścił je dopiero po złożeniu sowitego okupu. Obie damy strasznie się przeraziły; młodsza była bliska zemdlenia, starsza padła na kolana, błagając Araba o litość. Znalazłszy się z powrotem na ulicy, opowiedziały swą przygodę spotkanemu Francuzowi. Ten objaśnił je, że weszły do kuchni mahometańskiego dostojnika. Przez wejście »niewiernych« kobiet do kuchni wszystko w niej stało się »nieczystem« i musiało uledz zniszczeniu: zatem kucharz zażądał odszkodowania. Francuz doradzał paniom ostrożność przy zwiedzaniu miasta, bo nieznajomość obyczajów miejscowych może obcych narazić na przykrości.

Zdrowie Ojca św. Ojciec św. przyjmuje już pielgrzymów, załatwia sprawy Kościoła i odbywa przejażdżki powozem i przechadzki po ogrodach watykańskich. Wydane pismo przez lekarzy przybocznych określa stan zdrowia Papieża jako znakomity. Lekarze polecili Ojcu św. codziennie spacery i przejażdżki po ogrodach Watykanu.

Miasto w morzu. Na wschód od wyspy Lemnos, na dnie morza odkrył parowiec grecki ruiny starożytnego miasta, leżące w głębokości 25 metrów. Ruiny leżą na przestrzeni 3 mil morskich. Zarządzono badania naukowe.

Królowe zarabiające na chleb. Minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy księżniczki domów panujących spędzały czas w bezczynności, wypełniając sobie dzień zabawami, aby tylko zabić nudę. — Dziś prawie wszyscy książęta i księżniczki pracują na różnych polach i osiągają często wybitne stanowiska. Królowa belgijska Elżbieta jest godną córką zmarłego arcyksięcia Teodora bawarskiego, znakomitego lekarza oczu. Założyła ona lecznicę, w której sama leczy i kształci pielęgniarki. W razie więc nieszczęścia mogłaby z łatwością zarobić na życie jako lekarka. Prócz tego królowa jest bardzo muzykalną i doskonale kieruje samojazdem, umie nawet dokonać naprawy przy maszynie. — Królowa rumuńska, znana w świecie literackim pod nazwiskiem Carmen Sylvy, mogłaby w razie potrzeby zbywać swoje rękopisy w każdej redakcyi za przyzwoite wynagrodzenie. Nie brakłoby jej też chętnych nakładców. Posiadając gruntownie kilka języków, mogłaby być wreszcie nauczycielką języków. — Królowa angielska, Mary, jest utalentowaną malarką, prócz tego posiada piękny i wyszkolony głos, wreszcie gdyby to wszystko zawiodło, mogłaby z zupełnem powodzeniem zarządzać majątkiem ziemskim. — Talenty królowej włoskiej, Heleny, są całkiem innego rodzaju. Gdyby królowa Helena przestała być królową, wówczas ładny grosz mogłaby zarobić jako artystka w strzelaniu i pływaniu. — Cesarzowa niemiecka Augusta Wiktorya, swój fach fotograficzny doprowadziła do najwyższej doskonałości. — Królowa holenderska, Wilhelmina, wystawiła kiedyś w Haadze swoje obrazki, które wzbudziły ogólny podziw, prócz tego jest ona doskonałą gospodynią, znającą się na kuchni. — Królowa norweska, Maud, pisze z powodzeniem dramaty. Dramaty te nie pozostają w biurku, lecz chętnie są wystawiane przez teatry. Mogłaby więc zarabiać na życie jako literatka.

Najstarsza recepta. Pewien znakomity uczony angielski, badający wykopaliska w Egipcie, przysłał w darze londyńskiemu muzeum narodowemu receptę, którą znalazł wyrytą na kamieniu w jednym z grobowców. Recepta ta była zapisana matce drugiego Faraona (egipskiego monarchy) z pierwszej egipskiej dynastyi (prawie 4000 lat przed narodzeniem Chrystusa Pana), i miała na celu wzmocnienie włosów. Treścią jej było: Tłuszczu z psich nóg 1, daktyli 1, oślego kopyta 2.

Smutny obrazek z Ameryki. O nędzy jaka panuje między niektóremi rodzinami w Stanach Zjednoczonych, w tym bogatym i obfitującym we wszelkie dary przyrody kraju, podają polsko amerykańskie gazety, co następuje: Rzecz dzieje się w mieście Pittsburgu. W pewnej szopie policyant znalazł dwoje małych dzieci polskich. Chłopiec 11-letni, dziewczynka 6 letnia, którzy już od świąt Bożego Narodzenia przemieszkiwali w opuszczonej stajni i nikt o nich nie wiedział, nikt się niemi nie zajmował, ot żyli w nędzy i głodzie, jak dwoje dzikich zwierząt bez opieki. Przypadkiem tylko spotkał je policyant w nocy. Zimno było przejmujące. Przechodząc około stajni posłyszał jakiś dziwny mruk i zastanowiło go to, gdyż wiedział, że stajnia była próżną. Jakież było jego zdziwienie, gdy przy piecu starym siedziało drżących z zimna dwoje dzieci, nędznie ubranych, zabrudzonych i w dodatku przeraźliwie zagłodzonych. Bez zadawania pytań zabrał je natychmiast do restauracyi i nasamprzód nakarmił, a następnie zaprowadził na stacyę policyjną celem zbadania całej sprawy. Co za nędza! Dzieci zeznały, że w domu ani tego niema, co same własnym przemysłem dostawały; że zimno większe aniżeli w stajni, którą opalali węglami na torach zbieranemi w starym zardzewiałym piecu. Następnego dnia policya zbadała prawdziwość opowieści dzieci. Po chwiejących się schodkach dostano się do mieszkania biedaków. Brud i zaniedbanie z każdego kąta wyzierało. W dwóch stancyjkach raczej do nor podobnych aniżeli do pomieszkania, prawie bez sprzętów znalazła policya tylko kobietę leżącą na łóżku, raczej na barłogu, ze strasznie poparzoną ręką, bez opatrunku i jakiegokolwiek dozoru.

Potwór morski. Załoga przybyłego z Anglii do Nowego Jorku okrętu »Caledonia«, opowiada o straszydle, widzianem po drodze. — Dwaj młodzi oficerowie o godzinie 7 wieczorem zauważyli olbrzymiego płaza, długości 30 do 40 stóp z ogromnym łbem trójkątnym. Potwór przepłynął koło okrętu z ogromną szybkością, wyglądem swoim przypominał łódź podwodną i niemało przeraził marynarzy. Czwarty oficer okrętowy chciał urządzić pościg za tajemniczem stworzeniem, lecz z powodu braku czasu musiano zaniechać tego polowania.

Pogrzeb ostatniej cesarzowej Chin. Niedawno temu w stolicy Chin w Pekinie, odbył się pogrzeb ostatniej cesarzowej chińskiej, Long-Yu. W pochodzie pogrzebowym uczestniczył cały Pekin, bez względu na różnice i odcienia partyjne. Jak wiadomo, Chiny już z górą od roku są rzeczą pospolitą. Stara dynastya cesarska została zdetronizowaną i całkowicie odsunięta od wszelkich wpływów na administracyę państwa.



Rząd republikański liczył się jednak z głęboko zakorzenioną czcią dla panującej dynastyi i dawnych urządzeń. To też żyjącym członkom dynastyi wyznaczono pensye i pozostawiono im do dyspozycyi pałace cesarskie w Pekinie. Gdy cesarzowa Long-Yu zmarła niedawno, postanowiono urządzić jej pogrzeb ściśle według starożytnego ceremoniału dworskiego. Z pałacu cesarskiego wyruszył wspaniały kondukt ze zwłokami zmarłej, które nieśli najprzedniejsi mandarynowie, t. j. dostojnicy. W pogrzebie uczestniczyły nieprzeliczone tłumy dygnitarzy i pospólstwa. Rycina nasza przedstawia kondukt pogrzebowy, ciągnący przez ulice Pekinu.

Kolejka żaglowa. Robotnicy, pracujący nad budową lub naprawą linij kolejowych, prowadzących przez niezmierne stepy amerykańskie, posługują się do przebywania większych przestrzeni kolejką ża-

głową, to jest dresyną, zaopatrzoną w żagiel. Za pomocą tego rodzaju kolejki można poruszać się z ogromną szybkością, przewyższającą nieraz siłę motorów parowych, zwłaszcza przy pomyślnym wietrze

Przesądy lotników. Jak w każdym zawodzie, tak i w lotnictwie istnieją przesądy. Lotnicy wytworzyli sobie w krótkim bardzo stosunkowo przeciągu cały ich szereg. I tak: powszechnem jest u nich przekonanie, że lotnik, którego na polu wzlotu spotkał pech, dozna jeszcze dwa wypadki w tym samym dniu, jeśli nie zaprzestanie latać. Wielu lotników obawia się czynić wzloty przy natężonym blasku słońca. Przesąd ten ma stosunkowo dość realną podstawę, gdyż w sferze gorącej pory słonecznej tworzyć się zwykły pewnego rodzaju dziury powietrzne dla aparatów specyalnie szkodliwe. Bardzo wielu lotników nie czyni wzlotów w dn. 13 każdego miesiąca, niektórzy spe yalnie 13 stycznia i 13 lutego, gdyż w tych dniach zginęło dotąd 10 lotników. Baczną uwagę zwracają lotnicy na zachowanie się zwierząt. Złym znakiem jest więc przestrach i trwoga, jaką okazują na widok aparatu. Jeśli nie okazują widocznego niepokoju jest to dowodem, że lot będzie pomyślny. Złym znakiem jest również, jeżeli lotnikowi w powietrzu zegarek przestanie iść. Towarzystwo kobiety podczas lotu ma przynosić szczęście. Na dowód przytaczają wypadek ze słynną lotniczką Danies, która spadłszy z drugim lotnikiem z wysokości 100 stóp, wyszła bez szwanku. W kilka dni później tenże lotnik, pojechawszy sam, zabił się.

Zwyczaje żałobne w dalekich krajach. Niezwykłe są w różnych krajach sposoby okazywania żałoby i smutku. Oto kilka najciekawszych przykładów w tym kierunku:

W Nowej Kaledonii, wyspie na Oceanie Spokojnym koło Australii, wdowy całe swe ciało na znak żałoby czernią sokiem z orzechów, a na tem malują białe łzy. — U niektórych szczepów Indyan wdowa obowiązaną jest cały miesiąc spędzić nad otwartym grobem zmarłego małżonka i przez cały czas nie wolno jej czesać się lub stroić. Prawdziwe męki muszą przechodzić wdowy Indyan w Kolumbii. Uważane są za nieczyste i nikt nie może się do nich zbliżyć; na nikogo nie może paść ich cień, bo przynosi to nieszczęście. Pogrążona w żałobie nie może pić z obcego naczynia, a za posłanie i poduszkę służą jej ciernie. W Orgon, wdowa po uroczystem spaleniu zwłok męża na stosie, zbiera wszystkie pozostałe kości do naczynia z kory i w niem obowiązana jest nosić je na barkach przez cały rok bez przerwy. Jeszcze bardziej barbarzyński zwyczaj panuje na wyspach Andanańskich Tam czaszkę zmarłego męża, pomalowaną na czerwono i suto zdobioną kawałkami drzewa i skóry, przywiązują wdowie do prawego ramienia. Czaszkę tę, jako znak pamięci o zmarłym, musi nosić bezustannie aż do czasu zawarcia nowego małżeństwa, a jeżeli to nie nastąpi — aż do śmierci.

Zabobony uczonych ludzi. Jedna z gazet berlińskich zamieściła odpowiedzi wielu znakomitych osobistości, zwłaszcza uczonych i artystów, na wystosowany do nich okólnik, co sądzą o zabobonach i czy sami wierzą w zabobony. Znaczna większość zapytanych bez zastrzeżeń przyznaje się, że wierzy w zabobony, inni twierdzą, że wprawdzie nie są zabobonni w całem tego słowa znaczeniu, ale mają różne nawyknienia, które zapisać by można na konto zabobonu. Pewien profesor ma naprzykład zwyczaj urządzania »wyścigów« do przystanków kolei podziemnej, i jeśli pierwszy dopadnie kolei, uważa to sobie za dobry znak. Pewien radca oświadcza wprost: »Niczego bym w piątek nie rozpoczął, jako myśliwy zawróciłbym natychmiast, gdybym spotkał starą kobietę, nienawidzę liczby 13«. Pewien artysta malarz stwierdza, że każdy człowiek do pewnego stopnia jest zabobonny. Przyznaje się, że wszystkie swoje obrazy religijne malować począł w Wielki Piątek.

Uprawa ziemi a dynamit. Ciekawe doświadczenia z dynamitem, jako środkiem do spulchnienia ziemi ogrodowej, poczynił świeżo Dr Herbert Durham w Hereford, w Anglii. W wywierconych w pewnych odstępach licznych dziurach w glebie poumieszczał małe ładunki dynamitowe w głębokości około metra od powierzchni. Ładunki, wybuchając, poruszały i rozrywały grunt aż do dwóch metrów głębokości, nie wyrzucając jednak ziemi w powietrze. W ten sposób, jak twierdzi wynalazca tego niezwykłego sposobu uprawy roli, w przeciągu dwóch godzin przetrząsnął gruntownie tyle ziemi, że robotnik musiałby użyć dwóch tygodni czasu. Koszt tego zabiegu był nie większy od zwykłej uprawy ręcznej.

Niezwykłe zaślubiny. W jednej z miejscowości kanadyjskich odbył się niedawno bardzo niezwykły ślub. Tak pan młody, jak i pani młoda są głuchoniemymi od urodzenia. — Wesele odbyło się w domu znajomych, którzy także są głuchoniemymi. Do uczty weselnej zasiadło jedenastu głuchoniemych.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Marcin Dziubek w K.: Nie nasza wina, że »Rola« przestała przychodzić. My, nie chcac naprzykrzać się nikomu, gdy braknie prenumeraty, zaprzestajemy przesyłki. Numer z czekiem wysłaliśmy. — Jan Nita w P.: Nadesłaay wierszyk nie nadaje się do druku. — Władysław Marcinek w R.: Trudno takie sprawy publicznie opisywać — najlepiej załatwić to na miejscu. — Stanisław Czaja w Szcz.: Rozwiazanie nadeszło. Co do reszty jeszcze nic nie wiemy. — S. Sułkowski w M.: Cieszy nas bardzo, że Pan zadowolony z »Roli«. Maciek za pamięć dziękuje. Nadesłany wierszyk dobry, ale stosowniejszy do gazetki dla dzieci. — Józef Waszek w J.: Z chęciabyśmy umieścili, ale zawsze brak miejsca, więc prosimy bardzo o cierpliwość. — Jerzy Grygierczyk w Cz.: Za numer proszę dopłacić przy prenumeracie przyszłorocznej. — Jan Bylicki w K.: Za zyczliwość i serdeczne wyrazy szczerze dziękujemy. — Franciszek Filek: Będziemy umieszczali. — Andrzej Byczek: Za życzliwe słowa serdeczne dzięki; zagadki, gdy miejsce będzie, będziemy drukowali.

Potwierdzenia prenumeraty.

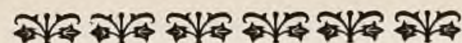
PP.: Józef Kasza z F. 3 K., Rudolf Ryszawy z D. 4·50 K., Jan Maj z G. 3 K., Jan Dziok z P., 2 K., Jan Nowak z K. 2·92 K., Piotr Bobulski z N. 2 K., Jan Śnieg z Szcz. 2 K., Michał Piwowar z S. 2·50 K., Józef Skałka z R. 2 K., Stanisław Bartosz z P. 1 K. Tomasz Krużel z P. 1 K., Józef Janusz z B. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 3 czerwca

Pszenica	Kor.	10·50	do	11·15	za 50 kg.
Żyto	„	9·20	„	9·75	„
Jęczmień	„	8.30	„	8·80	„
Owies	„	9·10	„	9·60	„
Otręby pszenne	„	6·10	„	6·30	„
Otręby żytnie	„	6·20	„	6·40	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 3 czerwca:

Buhaje	Kor.	90	do	280	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	120	„	300	„
Jałówki	„	120	„	200	„
Cieleta	„	26	„	70	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie bita waga)		160	„	180	za 50 kg.



Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Jan Ermel).

Sama pierwsza w liczeniu,
Druga trzecia w mierzeniu,
W całości zaś kwiateczki,
Które lubią dziateczki.
Zgadnij siostro i bracie
Nagroda czeka na cię.

2. REBUS.

(Ułożył Jan Malinowski).

Ja bo dwi żna ga i $\frac{\text{sław}}{\text{o}}$ 100 100$^{\text{to tni}}$ mek Pia ką 100 100 dzie łą li czy ła $\frac{2}{\text{ro}}$dy szła gdy świę przez C Ja nie gieł łę G dy $\frac{\text{mi}}{\text{wnu}}$ło k żyć la Wil $\frac{\text{li}}{100}$ cy.

3. ZAGADKA.

(Ułożyła Arabikowa z Bol.).

Dlaczego koń pisze się przez »k« a czasem przez »c«.

4. SZARADA.

(Ułożył Jan Ermel).

Druga trzecia
Jest u kmiecia,
Dwór najwięcej miewa,
Trzecia pierwsza
Rzecz to osobliwsza,
Zrobiona z przędziwa.
Całością bywa pocieszony
Maciuś Bzdura ze wsi Zatracony.

5. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Michał Więcław).

1 2 3 2 Ciężary porusza.
4 1 2 5 Drogi kamień.
5 2 6 3 Zwycięzcy mają.
7 2 3 2 Imię żeńskie.
8 2 3 2 Zbrodniarzy czeka.
2 3 2 8 Napój rozpalający.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą słowo wszystkim nam drogie.

6. SZARADA.

(Ułożył Michał Więcław).

Dalej zwierzęta, bliżej droga,
Razem złączone męczarnia sroga!

7. SZARADA.

(Ułożyła Stefania Składzieniówna).

Pierwsze, jak to mówią, mamy zwykle w lecie,
Drugie trzecie czwarte są na całym świecie,
Trzecie piąte znane wyścigów szermierzom,
Całość zaś dajemy jako płacę świeżą.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 14 czerwca 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 21 »Roli«:
1. Łamigłówka: **Kazimierz Brodziński**, 2. Szarada: **Niezgoda.** 3. Szarada: **Balon.** 4. Szarada: **Barbara.**

*

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Michał Więcław z N., Jan Ermel z W. R., Kazimierz Staszczak z P., Jerzy Fierich z K., Leon Wolski z N., J. Woś z K., Józefa Hirszberg z K., Zofia Oraczewska z Ż., Fr. Teper z M. K., Piotr Bochnia z T., Józef Kołatek z S., Adam Zieliński z Z., Józef Feret z K., Wł. Wołowiec z S., Tadeusz Rapała z J., Michał Dudek z Ż., Jan Przewłocki z Ż., Józef Drag z R., Józef Waszek z J., Wł. Ogińska z P., Wojciech Michno z Ł., Franciszek Siekaniec z P., Stanisław Musiał z N., Jan Wojnar z M. G., Minia Machówna z K., Jerzy Skulina z C., Wojciech Cetera z Ch., Stanisław Czaja z Szcz., Jan Babaś z O., Jan Malinowski z L.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Święty Piotr w Rzymie*** wylosował p. Kazimierz Staszczak z P., zaś drugą p. t. ***Placówka*** p. **Leon Wolski** z N.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego